

# **„NADZIEJA UMIERA OSTATNIA”**

## **OBOZOWE WSPOMNIENIA STANISŁAWA BRÓDKI.**

*Wspomnienia z więzień i obozów (1939 – 1945.). Pleszew 1997*

W dniu 1 września 1939 roku wczesnym rankiem zbudził nas szum wysoko lecących samolotów z zachodu w kierunku wschodnim. Nie mieliśmy wątpliwości, że to nieprzyjacielskie, że rozpoczęła się wojna. Szybko włączyliśmy radio, z którego dowiedzieliśmy się, że ok. godziny 4:45 wojska hitlerowskie bez wypowiedzenia wojny, zdradziecko wdarły się na obszar Polski, atakując na lądzie, morzu i z powietrza. Regularne uzbrojone oddziały wojsk hitlerowskich wkroczyły do Piotrkowic i Czempinia rano 9-go września, co było dla nas tragicznym, niezapomnianym przeżyciem. Zaczęła się noc okupacyjna.

Wprowadzono godziny policyjne, w czasie których Polakom nie wolno było wychodzić z domu. Już pod koniec września, a szczególnie w październiku 1939 roku docierały do nas wiadomości o aresztowaniach, maltretowaniach i rozstrzeliwaniach Polaków terenie powiatu kościańskiego. Wśród nich było wielu moich znajomych.

Pod groźbą ostrych konsekwencji karnych, aż do kary śmierci Polacy musieli oddać wszelką broń palną, radia, aparaty fotograficzne, maszyny do pisania itd.

W godzinach rannych w dniu 7 grudnia wszedł na podwórze żandarm niemiecki i zapytał, czy zastał w domu Józefa i Stanisława Bródkę. Kiedy zameldowaliśmy się mu, oświadczył, że ma nas zaraz zabrać na posterunek. Rozkazał szybko się ubrać, zabrać osobiste rzeczy i opuścić dom. Szybko przewieziono nas do Czempinia, gdzie załadowano nas na odkryte wozy i w silnym mrozie (-15 -20 °C) wieziono do Racotu. Tam przed pałacem stała już dość liczna grupa wysiedlonych Polaków. Byli to najczęściej nauczyciele, studenci, wdowy po rozstrzelanych, czy aresztowanych mężach, właścicielach majątków ziemskich. Wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani, bo nie wiedzieliśmy, jaki los nas czeka. Tymczasem wieczorem przewieziono nas wszystkich do Kościana i wpędzono do wagonów osobowych.

Pociąg ruszył w „nieznane”. Jechaliśmy kilkanaście godzin i wreszcie rano 9 grudnia zajechaliśmy do stacji Kosów Lacki, niedaleko Sokołowa Podlaskiego i Treblinki. Tam wysadzono nas i przydzielano do poszczególnych gospodarstw. Brat mój Józek ps. „Bartek”; przyszyły szwagier Dziwak ps. „Bina” i ja ps. „Kuba” postanowiliśmy najbliższym pociągiem wyjechać do Warszawy.

Namawiała nas do tego również pani Joanna Szczaniecka, która ofiarowała nam na jakiś czas mieszkanie w swej kamienicy przy ulicy Waszyngtona. W trakcie rozmowy zaznaczyła, że jej mąż przebywający w obozie jenieckim, chyba w krótkim czasie zostanie zwolniony i przybędzie do Warszawy, a że jest bardzo przedsiębiorczy na pewno zorganizuje dla nas możliwą pracę. Do stolicy zajechaliśmy szczęśliwie wieczorem. Na Dworcu Głównym postaraliśmy się o przepustkę i ruszyliśmy pieszo w kierunku Pragi, gdzie przy ulicy Waszyngtona 22 znajdowała się kamienica p. Szczanieckiej i tam ulokowaliśmy się na II piętrze. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy szczęśliwie chociaż w smutnym nastroju.

Licząc, że Anglicy i Francuzi rozpoczną ofensywę na Zachodzie postanowiliśmy wrócić do swych stron rodzinnych. Ustaliliśmy, że Hela postara się ze swym ojcem o przepustki (Resisegenehmigung) dla nas i przywiezie je do Warszawy. Pod koniec lutego 1940 roku Helcia zjawiła się w naszym mieszkaniu i po spakowaniu rzeczy ruszyliśmy na dworzec zadowoleni, że wracamy do swoich ukochanych, ale trochę zaniepokojeni, czy ta wyprawa, a zwłaszcza przekroczenie granicy Generalnej Guberni nam się uda. Do Czempinia

dotarliśmy po zmroku, gdzie przy obfitej kolacji zaczęły się wzajemne rozmowy i dyskusje na temat sytuacji i planów najbliższych.

Ustaliliśmy, że „Bina” i ja będziemy ukrywać się w domu Korbików w Czempiniu, a „Bartek” (brat Józia) u rodziców w Piotrkowicach, u przyszłych teściów Fabisiów.

Początkowo byliśmy zadowoleni, że wróciliśmy do swoich najbliższych. Na wszelki wypadek przygotowaliśmy kryjówki – jedną na podwórzu przy drewnianej szopie w ten sposób, że mogliśmy się zamknąć niewidocznymi drzwiami, druga na strychu, przy klatce schodowej. Wchodziło się do niej z góry i przykrywało deskami.

20 czerwca 1941 roku przeżyłem jeszcze jedna tragedię. W tym dniu wczesnym rankiem wysiedlono całą moją rodzinę z Piotrkowic i wywieziono najpierw do Leszna, później do Konstątnowa pod Łodzią, a po kilku dniach w głąb Niemiec. Jedynie mojej babci ze względu na wiek pozwolono wrócić do domu.

## **ARESztOWANIE - GEHENNA W WIEZIENIACH I OBOZACH KONCENTRACYJNYCH W KOŚCIANIE I OSTROWIE**

Było to 25 sierpnia 1942 roku. Siedzieliśmy razem z „Biną” w domu na strychu i wytrząsaliśmy mak z makówek. Pozostali domownicy korzystając z pięknej pogody pracowali w ogrodzie, niektórzy w polu. Główne drzwi domu nie były niestety zamknięte na klucz. Nagle około godziny 11 usłyszeliśmy, że ktoś jakby w butach wchodzi na strych. Nie zdążyliśmy wejść do przygotowanej kryjówki, a przez otwarte drzwi ktoś wchodzi. Józef „Bina” pierwszy zauważył, że to mężczyzna w mundurze żandarma, szybko wpadł do pokoiku i zdążył przez okno wyskoczyć na strop piwnicy przyległej do domu. Ja natomiast rzuciłem się do drugiego pokoju po przeciwnej stronie i zamknąłem drzwi na haczyk. Tymczasem żandarm gwałtem rozerwał drzwi i wtargnął z pistoletem do środka. Zażądał ode mnie przerażonego pokazania dowodu osobistego, czyli tzw. „Fingerabdruck”. Oświadczyłem mu, że nie mam takowego. Chwycił mnie gwałtownie za rękę i ciągnął po schodach na dół. Na podwórzu założył na ręce kajdanki i prowadził poza zabudowania. W ostatniej chwili zdążyły przybiec Mania i Stachna i pytały żandarma, co on ode mnie chce, dlaczego skuł mnie kajdankami. Ten głośno wykrzyknął: „Ruhe” – (spokój) i prowadził mnie dalej na posterunek żandarmerii, gdzie ulokowano mnie w piwnicy, w pomieszczeniu z zakratowanym oknem. W nocy spałem na drewnianej pryczy. Na drugi dzień rano sprowadzono mnie do biura, gdzie spisano dokładnie wszystkie dane osobiste i stale powtarzano pytanie, dlaczego i w jaki sposób przekroczyłem granicę G.G. oraz jak długo myślałem jeszcze się ukrywać. Do jakiej tajnej organizacji należałem? Na zadane pytania odpowiadałem krótko; oczywiście oświadczyłem, że do żadnej organizacji nie należałem. Moje wyjaśnienia nie zadowalały dwóch przesłuchujących mnie żandarmów. Oznajmili po przesłuchaniu, że będę wywieziony do Kościana i tam wszystko wyśpiwam.

Około godziny 10.30 załadowano mnie, skutego w kajdany na bryczkę i w towarzystwie żandarma zawieziono do więzienia w Kościanie. Jakby na ironię, jako woźnicę zaangażowano dziadka Korbika z jego zaprzęgiem.

Umieszczono mnie początkowo w celi dwuosobowej i przez kilka dni przesłuchiowano. Usiłowano wszelkimi sposobami, najczęściej biciem po twarzy, głowie, tzw. Gummiknüpplem po plecach zmusić mnie do przyznania się, że zajmowałem się szpiegostwem, kolportowaniem gazetek, że należałem i działałem w tajnej organizacji. Jako główny argument podawano to, że podczas rewizji w miejscu mego aresztowania znaleziono

maszynę do pisania (a Polakom nie wolno było ich posiadać) oraz fotografię, którą mi pokazano. Na niej stałem z kolegami z Wołkowyska, a wśród nich było dwóch w mundurach oficerskich i to właśnie u oprawców budziło podejrzenie, że ja należałem do oddziału partyzanckiego. Dużo się nacierpiałem zanim zdołałem niby przekonać prowadzących śledztwo, że tych kilkunastu mężczyzn na fotografii, to moi koledzy – nauczyciele z Wołkowyska, z którymi uczyłem w tamtejszym liceum. Po trzech dniach do celi, w której do tej pory byłem sam, wprowadzono młodzieńca liczącego może 19 lat. Podczas rozmowy z nim szybko zorientowałem się, że to tzw. „szpicel”. Opowiadał mi najczęściej leżąc na pryczy o swoich przeżyciach, o pobiciu przez gestapowców, w co nie bardzo wierzyłem. Stawiał mi różne pytania najczęściej dotyczące mej pracy, przyczyn aresztowania itp. Odpowiadałem na nie krótko i bardzo ostrożnie. Nie myliłem się, w krótkim bowiem czasie po porannej gimnastyce, którą przeprowadzano regularnie na niedużym dziedzińcu więziennym, już agenta gestapo w celi nie zastałem. Minęły dwa tygodnie mego pobytu w więzieniu, do biura mnie już nie zaprowadzono. Doszedłem do wniosku, że śledztwo zostało zakończone. Ulokowano mnie w celi, gdzie siedziało nas pięciu. Czułem się teraz lepiej. Rozmawialiśmy bez obaw ze sobą, rano i wieczorem wspólnie odmawialiśmy pacierz. Wreszcie, kiedy już zbliżał się prawie miesiąc od dnia mego aresztowania zawezwano mnie do biura sądowego, gdzie ogłoszono mi, że zostałem skazany na 9 miesięcy więzienia za nielegalne przekroczenie granicy G.G. i ukrywanie się. Przyjąłem to ze spokojem, sądziłem bowiem, że męczarnie, jakie przechodziłem w czasie śledztwa się skończyły. Wiadomość o „wyroku” szybko dotarła do rodziny i na trzeci dzień odwiedziła mnie moja ukochana Mania. Uściskaliśmy się serdecznie ze łzami w oczach, krótko porozmawialiśmy ze sobą w obecności dozorczy. Po paru dniach zjawił się w więzieniu żandarm w mundurze, założył mi na ręce kajdany i zaprowadził na dworzec. Tam wsiadł ze mną do wagonu nadjeżdżającego pociągu i zawiózł przez Poznań do Ostrowa, gdzie zaprowadził mnie do tamtejszego więzienia. Tu warunki były o wiele gorsze niż w Kościanie. W celi siedziało zwykle przeszło 10 więźniów. Spaliśmy na piętrowych łózkach. Panował brud, smród, dokuczały nam wszy i pluskwy.

Byliśmy stale głodni. Rano dostawaliśmy dwie skibki chleba, posmarowane cieniutko margaryną i gorzką kawę, to samo na kolację; na obiad najczęściej kapuśniak, a w nim trochę ziemniaków. Mimo że jedzenie naprawdę było niesmaczne, zjadałem wszystko.

## W STRAFLAGRZE NA DĘBCU

W więzieniu ostrowskim na szczęście nie siedziałem długo. Na początku października 1942 roku kilkudziesięciu więźniów załadowano do oddzielnego wagonu i zawieziono do Poznania. Tam w więzieniu przy ulicy Młyńskiej po kąpieli otrzymaliśmy świeżą bieliznę i ubrania, po czym ciężarowym samochodem zawieziono nas na Dębiec. Był tu w budowie tzw. Straflager (obóz karny). Stały już dwa drewniane baraki i w jednym z nich ulokowano naszą grupę z Ostrowa. W sumie obóz ten liczył ok. 80 więźniów.

Początkowo zatrudniono nas przy wykańczaniu baraków, budowie latryny, porządkowaniu terenu. Później pracowaliśmy przy budowie kanalizacji, musieliśmy w trudnych warunkach kopać kilkumetrowej długości kanały, w których następnie umieszczono duże żeliwne rury. Praca tu była bardzo ciężka. Na jednym odcinku rozciągał się dość wysoki, szeroki wał, w którym trzeba było kopać głęboki kanał. Więźniowie stali jakby na czterech piętach. Każdy musiał rzucać łopatą ziemię stojącemu kolejno coraz wyżej. Co kilkanaście metrów stali strażnicy z karabinami i pilnowali, żeby praca szła szybko i sprawnie. Począwszy od listopada zaczęło dokuczać zimno, często padały deszcze, co wpłynęło wyraźnie na nasz stan zdrowia. Wielu się przeziębiło, miało podwyższoną temperaturę, ale o zwolnieniach, czy opiece lekarskiej nie było mowy. Nie mieliśmy żadnych swetrów, tylko

cienną bieliznę i drelichowe ubrania, które niestety przed zimnem nie chroniły. Niektórzy radzili sobie w ten sposób, że pod marynarkę wkładali papierowe worki od cementu. W czasie apelu strażnicy to zauważyli i przeprowadzili dokładną kontrolę, wszyscy, którzy mieli takie papierowe worki, musieli je wyrzucić i przy tej okazji zostali poważnie pobici. Ostrzeżono nas, że jeżeli się to powtórzy, czeka winnych większa kara, a nawet karcer. Te brudne worki, stwierdzono, są przyczyną rozmnażania się różnego rodzaju pasożytów i chorób zakaźnych.

Około 15 listopada poważnie zachorowałem, miałem temperaturę, spuchła mi prawa ręka, a na niej wyszło kilka wrzodów, które mi strasznie dokuczały. Mimo to musiałem chodzić z innymi do pracy. Kiedy odrzucałem ziemię już na powierzchni i razem z innymi ją wyrównywałem, koledzy troskliwie mi pomagali, co nie podobało się strażnikowi Brennerowi. Przystanął chwilę przy mnie i zapytał, dlaczego tak słabo pracuję i nie rozrzucam dalej ziemi. Odpowiedziałem, że jestem poważnie chory i pokazałem mu owrzodzoną rękę. „Wykop sobie tutaj dół, a ja cię zastrzelę i w ten sposób skończy się twoje cierpienie” - powiedział niby żartując. Męczyłem się jeszcze kilka dni, temperatura się unormowała, wrzody stopniowo pękały i zniknęły. Co to znaczy młody organizm!

W zimie pracowaliśmy przy odśnieżaniu i porządkowaniu terenu lagru i okolicznych dróg. Niektórzy pracowali przy wykańczaniu i utrzymaniu porządku w barakach pilnowani przez dozorców m.in. przez Brennera i Hirscha. Często rozmawiałem z takimi kolegami jak: Stefanem Jopkiem – pochodzącym z Pleszewa, Czesławem Muszalskim z Żychlina, Leonem Kaletą z Kuczkowa. Tak się dziwnie złożyło, że po wojnie znalazłem się w Pleszewie i z wyżej wymienionymi kolegami często się spotykałem.

Zaprzyjaźniłem się bardzo z kolegą Kaziem Grządzielewskim – z zawodu księgowym, który urodził się w Berlinie, znał doskonale język niemiecki i dzięki niemu podciągnąłem swoje umiejętności w tym zakresie. Spaliśmy w piętrowych łózkach, Kaziu na dole, ja u góry. Łóżko nasze przylegało do drewnianej ściany, za którą spał jeden z dozorców. Regularnie słuchał on dziennika radiowego, oczywiście w języku niemieckim. Przystawialiśmy z Kaziem uszy do ściany i podsłuchiwalismy. Dzięki temu orientowaliśmy się, co się dzieje na froncie. Uzyskane wiadomości przekazywaliśmy kolegom.

Wielkim przeżyciem dla nas były: Wigilia, Święta Bożego Narodzenia. Spędzaliśmy je zawsze przecież w gronie rodzinnym, w miłej, serdecznej atmosferze. Śpiewaliśmy kolędy, łamaliśmy się opłatkiem, jedliśmy różne smakołyki. A tu w łagrze jedzenie jak w zwykłe dni, niesmaczne, ubogie. Tylko wieczorem nuciliśmy kolędy, składaliśmy sobie życzenia doczekania jak najwcześniejszej wolności i lepszych czasów. Myślami jedynie przenosiliśmy się do stron rodzinnych.

Zima była straszna. Marziliśmy przy pracy, marziliśmy w nocy w baraku, gdzie grzał tylko nieduży piec żelazny. Do przykrycia mieliśmy dwa koce. Byliśmy wszyscy przeziębieni i w nocy po kilka razy oddawaliśmy mocz do postawionych kubłów. Zbliżała się wiosna. Skoro tylko minęły mrozy, zniknęły śniegi, pędzono nas znowu do robót przy kanalizacji.

Pewnego dnia, było to na początku 1943 roku na samym apelu wybrano 10 więźniów, wśród nich i ja się znalazłem. Prowadził nas strażnik, którego uważano za bardzo surowego, ponieważ zwykle głośno krzyczał i popychał często karabinem. Nazywał się Rosenbrück, a pochodził z krajów nadbałtyckich (tzn. Baltendeutsche) i znał trochę język polski. Początkowo baliśmy się go. Doszliśmy do drogi za torem kolejowym prowadzącym z Poznania w kierunku Ostrowa. Kilkaset metrów dalej zaczynał się las na Dębcu. Przy drodze znajdowało się dość dużo długich, o przekroju 1,5 metra rur żeliwnych. Naszym zadaniem było przekucie poszczególnych rur na odległość około 300 metrów aż do brzegu lasu. Nikt z nas nie wiedział, jak się do tego zabrać. Najpierw podkładaliśmy dwa drągi, jeden z jednego końca rury, a drugi z drugiego. Szło nam to ciężko i powoli. Wreszcie jeden z nas, a był to Jasiu Banaszak spod Kępna, odezwał się: „Ja jestem rolnikiem, często ładowałem i woziłem

drzewo z lasu, więc trochę się na tym znam”. Kazał nam podkładać jeden drąg pod środek rury i ją popychać, to z jednej to z drugiej strony. Praca szła o wiele łatwiej i szybciej.

Przedtem przekulanie jednej rury na odległość około 300 metrów trwało przeszło 40 minut, a teraz zaledwie 15 min. Banaszak kierował całą akcją i stale powtarzał swoją gwarą: „Teroski tu capnij tego drąga”. Strażnik Rosenbrück był bardzo zadowolony z nas, pozwalał nam dość często przerywać pracę i odpoczywać. Kiedy już wszystkie rury przekulaliśmy na wyznaczone miejsce, powierzono naszej grupie inne zajęcie, po wykonaniu którego znowu wróciliśmy do prac kanalizacyjnych.

Na niektórych odcinkach zaczęto już rury instalować i przy tym pracowali fachowcy cywilni, głównie Polacy. Z jednym z nich (nie pamiętam niestety jego nazwiska) spotykałem się i rozmawiałem dość często. Po pewnym czasie napisałem po kryjomu gryps i z adresem do rodziny w Czempiniu przekazałem zachowując wielką ostrożność wyżej wspomnianemu rodakowi. Ten jak się okazało wywiązał się doskonale ze swego zadania. List wkrótce wysłany pocztą dotarł do Czempinia. Mania zorientowawszy się, gdzie jestem i pracuję, szybko skontaktowała się z moją dalszą kuzynką Manią Fabisiową, którą nazywaliśmy potem pseudonimem „Engel” (Anioł). Mieszkała ona w Poznaniu na Dębcu przy ulicy Wiśniowej, a więc niedaleko naszego obozu i miejsca pracy. Tak się szczęśliwie złożyło, że skończyliśmy już przewożenie: „trójników”, a zaczęliśmy ładować na długie „lory” normalne, ciężkie rury, zabezpieczaliśmy je z obu stron klinami i następnie na zbudowanym wąskim torze pchaliśmy poprzez las. Pewnego razu strażnik Rosenbrück, żeby oszczędzić naszego wysiłku, kazał nam popchnąć lorę załadowaną na szynach prowadzących z górki dość wysokiej i wskoczyć na nią. Było nas razem dziesięciu. Trzech ulokowało się i trzymało z jednej strony rury, czterech z drugiej, a trzech z tyłu razem ze strażnikiem, który z okrzykiem „Nie bój się śmierci” kazał rozpędzić przeładowaną lorę. Kiedy zbliżyliśmy się do dość wysokiego, stromego nasypu, nagle rura wypadła z klinów w dół. Na szczęście wszyscy zorientowaliśmy się i w ostatniej chwili odskoczyliśmy w tył i w bok tak, że nikomu nic się nie stało, tylko karabin Rosenbrücka został trochę uszkodzony. Już więcej na lorę nikt nie wchodził.

Przy rozwożeniu rur pracowaliśmy kilka tygodni. Pewnego razu, kiedy wracaliśmy lasem do obozu, zauważyłem idącą pobliską drogą kuzynkę Manię ps. „Engel”, która dyskretnie dawała ręką znak, że mnie widzi. Ta sytuacja powtórzyła się jeszcze trzy razy. Tymczasem w trakcie rozmowy z Rosenbrückiem, co zdarzało się teraz coraz częściej, zapytałem go, czy mógłby się ktoś z mej rodziny tutaj dyskretnie ze mną spotkać. On po chwili zastanowienia, zgodził się na to ale ostrzegwał, żeby to się odbywało w tajemnicy przed innymi. Zresztą powiedział – ja zauważyłem, że gdy wracaliśmy wczoraj do obozu, jakaś kobieta dawała ręką tajemniczy znak. W ten sposób niemal codziennie w głębi lasu spotykałem się z odważnym „Engelem”, który z narażeniem życia przynosił mi systematycznie paczki z żywnością. Oczywiście początkowo w tajemnicy przed „opiekunem” dzieliłem się nią z kolegami. Zaufanie wzajemne jego do mnie i do kolegów coraz bardziej wzrastało. Wreszcie zgodził się na rozmowę z „Engelem”, który znał dobrze język niemiecki. Doszło nawet do tego, że sam chętnie przyjmował od kuzynki mięso, czy wędliny, które ona otrzymywała z Czempinia. Pewnego razu nawet sam odwiedził tam rodzinę Korbików. Te kontakty sprzyjały temu, że sytuacja moja i kolegów ze mną pracujących, a nawet w innych barakach znacznie się poprawiła. Jak bowiem tylko mogłem, odstępowałem im swoje porcje jedzenia, a szczególnie Kaziowi Grządzielewskiemu. Jaka była moja radość, kiedy pewnego razu spotkałem się z ukochaną Manią która też częściej przyjeżdżała do Poznania, żeby mnie chociaż z daleka zobaczyć, co było połączone z wielkim dla niej niebezpieczeństwem.

Powoli zbliżał się czerwiec, w którym kończył się dziewiąty, a więc ostatni miesiąc pobytu w więzieniu. Tymczasem dotarła do nas wiadomość o zarządzeniu władz hitlerowskich, że Polacy skazani na więcej niż 6 miesięcy więzienia, po odbyciu kary nie

będą zwalniani do domu, lecz przekazywani do obozu koncentracyjnego - a więc do dyspozycji gestapo - na okres trwania wojny. Ta wiadomość niestety się sprawdziła.

W pamiętnym dniu 25 czerwca 1943 roku zamiast do domu trafiłem do więzienia przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu. Tam po kąpieli musiałem wdziać moje cywilne ubranie, w jakim mnie zabrano w dniu aresztowania. Umieszczono mnie w celi, gdzie było już kilku więźniów takich jak ja. Po dwóch dniach wywieziono nas „suką” do siedziby Gestapo w Poznaniu (przed wojną był tam Dom Żołnierza, obecnie na tym miejscu jest gmach operetki). Tam dołączyło do nas jeszcze kilkunastu i całą grupę, liczącą 25 osób wywieziono krytym samochodem do bram Fortu VII.

## **W DURCHGANGLAGER - FORT VII W POZNANIU, ŻABIKOWO**

Przy głównej bramie obozowej wyrzucono nas z samochodu i ustawiono piątkami. Sprawdzone listę i wystawiono SS-manom konwojentom pokwitowanie odbioru więźniów. Kiedy staliśmy długo przed wejściem, wpatrywałem się w napis „Fort Colomb” nad bramą. W pewnym momencie zauważyłem wychodzącego z niej młodszego kolegę z gimnazjum w Kościanie Kajetana Skrzypczyńskiego, syna kierownika szkoły w Piechaninie. On mnie też poznał, po chwili przyprowadził ze sobą jeszcze dwóch znajomych pochodzących z mej rodzinnej wioski Piotrkowice, a mianowicie Henryka Maliczaka i Stanisława Polubińskiego. Cała ta trójka została aresztowana przez Gestapo w październiku 1939 roku, o czym wiedziałem już w czasie ukrywania się. Mówiono wówczas, że zostali oni rozstrzelani w lesie koło Kościana. Kiedy zobaczyłem ich żyjących, dość dobrze wyglądających i ubranych, byłem mile zaskoczony.

Tymczasem dwóch esesmanów wprowadziło całą naszą grupę do głównego korytarza. Tam musieliśmy stać odwróceniem twarzy do ściany z podniesionymi rękami. Przeprowadzono szczegółową rewizję i odebrano wszystko, cokolwiek mieliśmy przy sobie, następnie umieszczono nas w celi nr 70. Ledwo zdążyliśmy się ulokować i odpocząć na pryzkach, przyszedł do nas mój znajomy Stanisław Polubiński i opowiedział jaką gehennę przeżył zanim znalazł się w Forcie VII. Tu również początkowo był strasznie traktowany i bity dopóki nie wykazał się swoimi umiejętnościami w zakresie majsterkowania i znajomości języka niemieckiego. Obecnie był funkcyjnym odpowiedzialnym za porządek i sprzątnięcie obozu wraz z grupą więźniów zwaną Reinigungskommando, z którego wielu zostało ostatnio przetransportowanych do Oświęcimia. Postanowił więc naszą grupę włączyć do tego komanda. Praca w nim - jak twierdził jest możliwa i przy tej okazji będziemy mogli zobaczyć, w jakich warunkach żyją więźniowie. Na drugi dzień rano otrzymaliśmy miotły i przystąpiliśmy do roboty. Zamiatając korytarze widzieliśmy przeładowane cele, do których światło dzienne i powietrze przedostawało się tylko przez otwory i szczeliny w żeliwnych drzwiach. Skoro jakiś esesman przechodził korytarzem i zbliżał się do celi, wszyscy znajdujący się w niej więźniowie musieli stać na baczność. W celach brak było powietrza, panował smród, który zwiększały stojące wewnątrz wiadra, do których więźniowie załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne. Codziennie rano kilku więźniów musiało te przepełnione cuchnące wiadra wynosić do ustępu. Biada, jeżeli któryś przez nieostrość rozlał fekalia na korytarzu, musiał wtenczas czołgając się własnym ubraniem to wytrzeć. Nie lada problemy, były też z korzystaniem z ubikacji. W niedużym stosunkowo pomieszczeniu znajdowało się 5 sedesów, z których grupa ok. 20-osobowa spędzonych więźniów mogła korzystać tylko 4 do 5 minut.

My pracujący w Reinigungskommando nie mieliśmy takich trudności. Zawdzięczaliśmy to oczywiście koledze Polubińskiemu, który też przy tej okazji potajemnie przynosił coś do zjedzenia. Ale głodni mimo to byliśmy stale. Rano dawano nam kubek gorzkiej kawy i kromkę suchego chleba, w południe zaś ok. pół litra wodnistej zupy z ziemniaków, kaszy, brukwi lub jakąś zieleninę. Na kolację kubek kawy i niekiedy kawałek chleba. Z kolegą Polubińskim spotykaliśmy się i rozmawialiśmy o swoich przeżyciach codziennie. Jak się krótko po zakończeniu wojny dowiedziałem, nie wrócił do rodziny w Piotrkowicach, zginął w Oświęcimiu, dokąd go wiosną 1944 roku z Fortu VII wywieziono.

Pobyt mój we Forcie VII nie trwał długo, po 20 lipca zostałem wraz z pozostałymi kolegami z Reinigungskommando przewieziony do Żabikowa. Tu wpędzono nas nie szczczędając pałek do baraku, gdzie stały ciasno upchane piętrowe łóżka. Spaliśmy na deskach, bowiem sienniki usunięto ze względu na zalęgające się robactwo. Było lato w pełni, panował upał, ale nie wyobrażałem sobie, jak musieli marznąć więźniowie w zimie. Obóz w Żabikowie najczęściej nazywano Arbeitserziehungslager, czyli lager, w którym uczono pracy, w czym nie było przesady. Odczuliśmy to sami niebawem. Wcześniej rano ok. 5.30 musieliśmy wstawać, szybko biec do łaźni, która mieściła się naprzeciw naszego baraku. Potem ustawić się w kolejce po kubek gorzkiej kawy, kromkę chleba posmarowaną najczęściej margaryną lub jakąś marmoladą. Następnie odbywał się na dziedzińcu apel, w czasie którego wyznaczano poszczególnych więźniów do różnej pracy na terenie samego obozu lub poza nim. Wszystko trzeba było wykonywać w szybkim tempie. Raz pamiętam, znalazłem się w grupie dziesięciu więźniów, których dosłownie zaprzęgnięto jak konie do żelaznego dużego walca, który musieliśmy ciągnąć i w ten sposób ubijać drogę prowadzącą wzdłuż obozu. Esesman popędzał nas bijąc po plecach bykowcem. Po trzech godzinach na skutek wysiłku i upału dwóch z kolegów dosłownie zemdłało. Musieliśmy wówczas w ósemkę ciągnąć ciężki walec. Byliśmy szczęśliwi, kiedy wreszcie walcowanie się skończyło. Przez kilka dni zatrudniono nas dziesięciu w pobliskiej gliniance, zwanej „Lehmbau”, gdzie musieliśmy kopać glinę. Praca tam była ciężka, ale strażnik prowadzący nas i pilnujący był możliwy. Spotykaliśmy się też z Polakami zatrudnionymi przy budowie jakiś pomieszczeń. Byliśmy im bardzo wdzięczni za to, że w miarę możliwości podawali nam coś do zjedzenia i picia, a przecież głód i pragnienie z powodu upałów szczególnie nam dokuczały.

Na początku sierpnia już naszej grupy nie wyprowadzano poza teren obozu. Zastanawialiśmy się, dlaczego. Wkrótce sprawa się wyjaśniła. W dniu 5 sierpnia rano zaprowadzono nas przed biuro obozowe tzw. Schreibstube, gdzie już stało kilkudziesięciu kolegów. Wchodziliśmy kolejno do środka gdzie musieliśmy podpisywać jakieś pismo, ale nikt nie wiedział co. Kiedy jeden z więźniów pochodzący z Otwocka zapytał, co on ma podpisać, stojący obok esesman uderzył go bykowcem z całej siły w twarz, która mu natychmiast spuchła, a z nosa zaczęła tryskać krew. Przeraziliśmy się wszyscy i już żaden z nas nie odważył się na takie pytanie. Do tej pory nie wiem co podpisałem. Przypuszczam, że chodziło o pismo potwierdzające wywóz do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Tegoż dnia wieczorem wpędzono nas ok. 80 – do baraku, w którym było tak ciasno, że musieliśmy całą noc stać i to przy szczelnie zamkniętych oknach zabezpieczonych kratami. Dokuczały nam: pragnienie, smród, duszność. Wczesnym rankiem 6 sierpnia załadowano wszystkich do dwóch krytych samochodów ciężarowych, w których obok kierowcy siedział z pistoletem jeden esesman, a z tyłu za więźniami dwóch, którzy mieli pilnować, żeby ktoś nie wyskoczył i nie uciekł. Wkrótce dotarliśmy do Dworca Zachodniego. Tu nas wpakowano do podstawionego krytego wagonu towarowego, jakim najczęściej przewozi się bydło. Było w nim duszno, przez nieduże drzwi, przy których stało dwóch esesmanów, przedostawało się mało powietrza. Wagon ten przyczepiono do pociągu osobowego kursującego na linii Poznań – Wrocław. Wielkie było dla mnie przeżycie, kiedy przejeżdżaliśmy przez Czempień i przez moment widziałem położony niedaleko toru dom moich teściów, gdzie się ukrywałem. Do

Oświęcimia przybyliśmy około godziny 21.00. Wagon nasz postawiono na bocznicy, gdzie stało już kilku esesmanów z pistoletami. Jeden z nich kazał nam wysiadać i biegiem dołączyć do grupy więźniów, którzy wyszli już z innych wagonów. Ustawiono nas szeregami po dziesięciu w każdym. Gdy wszyscy już byli ustawieni, dokładnie stwierdzono stan liczbowy. Otoczeni łańcuchem uzbrojonych esesmanów z psami na smyczy, ruszyliśmy w kierunku obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu (Konzentrationslager Auschwitz I).

## W OŚWIĘCIMIU - KONZENTRATIONSLAGER AUSCHWITZ I

W dniu 6 sierpnia 1943 roku po godzinie 21.00 podchodziliśmy do głównej bramy obozu, nad którą widniał napis: „Arbeit macht frei” – praca czyni wolnym. Z boku bramy na grubej, wysokiej, pionowo stojącej belce była umieszczona deseczka, a na niej rzeźbione w drzewie postacie Zugangów (tj. przybywających do obozu) przedstawionych w karykaturze: wysoki i szczupły, gruby i niski, Żyd z dużym nosem, kaleka o kulach itd. Wszyscy z walizkami wchodzi do obozu. Obok na tabliczce widniał napis „Dali, dali weg” tzn. nazwa drogi prowadzącej na dziedziniec obozu. Po polsku znaczy to „dalej dalej droga”.

Wprowadzono nas do piwnicy jakiegoś budynku i tam na cemencie musieliśmy przespać całą noc. O godzinie 7.00 poprowadzono nas pod blok nr 26 tzw. Effektenkammer, gdzie mieściła się składnica rzeczy osobistych i tam musieliśmy oddać nasze ubrania, bieliznę. Wolno nam było zatrzymać tylko dwie chusteczki do nosa. Resztę musieliśmy zapakować do worków papierowych, gdzie każdy powinien włożyć kartkę ze swoim nazwiskiem. Stamtąd przeprowadzono nas nagich do łaźni, gdzie fryzjerzy ubrani w pasiaki bijąc i wymyślając strzygli nas. Najpierw strzyżono włosy na częściach płciowych, pod pachami, następnie tą samą maszynką – wąsy, a wreszcie głowę „na kolano”. Tej ceremonii towarzyszyły syki i okrzyki strzyżonych z powodu okaleczenia skóry, maszynki bowiem przeważnie były tępe. Potem poszliśmy do łaźni. Tam nacierano nam kolejno: narządy płciowe, pachy, twarz i głowę – naftą i ustawiano po dwóch pod jednym natryskiem. Puszczano wodę raz zimną, raz gorącą i po tej kąpieli wypędzono nas mokrych na podwórze, gdzie musieliśmy stać nago przeszło godzinę. Szczęście, że było lato i temperatura dość wysoka. Następnie zaprowadzono nas przed tzw. Bekleidungskammer, czyli szatnię i każdy z nas otrzymał bieliznę, często z plamami od maści ichtiolowej, buty i mocno podniszczone pasiaki. Ja miałem wielkie trudności ponieważ wszystko było dla mnie za małe. Skoro ubraliśmy się, zaprowadzono nas przed Schreibstube (biuro) i ustawiono dziesiątkami.

Po kilkunastu minutach zjawili się młodzi ludzie w pasiakach i wywoływali nas alfabetycznie i kolejno wchodziliśmy do biura, gdzie spisywano dokładnie wszystkie dane osobowe: a więc nazwisko, imię, datę i miejsce urodzenia, zawód, przyczynę aresztowania itd. oraz trzeba było podać nazwisko i adres osoby, do której będzie się pisać listy i którą należy zawiadomić na wypadek śmierci. Każdy z nas otrzymał numer osobisty (mnie przypadł numer 136102).

Odtąd nie nazwisko, ale Häftlingsnummer był najważniejszy. Ten sam numer wytatuowano każdemu oprócz Niemców na lewym przedramieniu, odbito na białych skrawkach płótna, z których jeden kazano przyszyć po lewej stronie bluzy na wysokości drugiego guzika, a drugi poniżej prawej kieszeni spodni. Nad numerami musieliśmy przymocować czerwony gałganek w kształcie trójkąta z wybitą na nim czarnym tuszem literą P. Tu należy się pewne wyjaśnienie. Więźniowie polityczni nosili czerwone trójkąty tzw. winkle, kryminaliści zielone, recydywiści z ostrym kątem skierowanym w górę, uchylający się od pracy – czarne, homoseksualiści – różowe, księża oraz badacze pisma świętego – liliowe. Litera P oznaczała narodowość polską R – rosyjską C – czeską B – belgijską F –



francuską Z – cygańską. Niemcy nosili winkle bez litery, Żydzi zaś gwiazdy utworzone z dwóch winklów: żółtego i czerwonego.

Po załatwieniu tych wszystkich formalności umieszczono nas w bloku 2, a po kilku dniach przeprowadzono do 8. W poszczególnych izbach stały trzypiętrowe łóżka, a w każdym spało nas po dwóch. Łóżka były wąskie, pościelenie twarde (siennik wypchany niewielką ilością starej słomy), a pod głowę kładliśmy złożone ubranie, buty, żeby było wyżej. Codziennie rano musieliśmy stać łóżka. Trzeba było wyrównać sienniki, na nich równo ułożyć koc, a drugi złożyć na osiem części i położyć w głowach łóżka pod linię z kocami na sąsiednich. Pilnował tego Stubendienst (sztubowy tj. więzień, najczęściej kryminalny zarządzający salą). Pewnego razu wszedł do izby esesman i powyrzucał koce ze wszystkich łóżek, ponieważ uznał, że były nierówno ułożone. Musieliśmy jeszcze raz je uporządkować, przy czym sztubowy wielu kolegów zbił.

Po uporządkowaniu łóżek śniadanie, prędko podawano herbatę, a raczej jakieś ziółka oraz kromkę chleba (tzw. pajdkę) niekiedy posmarowaną margaryną lub jakąś marmoladą. Następnie wypędzano nas z bloku. Zostawali tylko sztubowi, którzy mieli obowiązek posprzątania sal. Ustawiano nas przed blokiem w dziesięciu szeregach. Równanie i krycie musiało być idealne. Sprawdzał je blokowy, a był nim na bloku 8 Niemiec Alois Freisiesen – więzień kryminalny, znany z okrucieństwa. Pomagało mu w tym kilku sztubowych. Następnie przeliczano dokładnie stojących na zbiórce i rozpoczynano ćwiczenia przygotowujące do apelu. Zaczynały się one zwykle od komendy blokowego – Achtung! Uwaga! Wtenczas wszyscy przyjmowali postawę zasadniczą. Po niej druga: Miitzen ab! – Czapki zdjąć! Należało wówczas chwycić czapkę prawą ręką za brzeg, szybko zdjąć i opuścić uderzając nią silnie w prawe udo. Na rozkaz: Mützen auf! – należało czapkę nałożyć na głowę i natychmiast rękę opuścić uderzając nią również w prawe udo. To sprawiało niekiedy poważne trudności, ponieważ czapki były miękkie, sukienne bez daszków i często za małe.

Te komendy, rozkazy i związane z tym ćwiczenia trwały dość długo. Początkowo koledzy nie znający języka niemieckiego mieli poważne trudności i na komendę czapki zdjąć, pozostawiali je na głowie. Wówczas blokowy uderzał biedaków silnie w głowę i czapki zrzucał. Niektórym kolegom blisko stojącym poradziłem, żeby czapki schowali do kieszeni (nie wszyscy bowiem w szatni je otrzymali) i w ten sposób uniknęli bicia. Codziennie regularnie przed blokiem odbywał się apel. Podchodził wtenczas do naszej grupy esesman a blokowy krzyczał: Achtung! Mützen ab! Augen rechts! (w prawo patrz), po czym składał meldunek oddając równocześnie esesmanowi oprawioną w ramkę tabliczką z wykazem stanu liczebnego haftlingów na bloku. Ten dokonywał przeglądu, liczył ilość szeregów, oraz więźniów w nich stojących, porównywał z wykazem stanu i odchodził pozostawiając nas stojących na baczność. Musieliśmy tak stać do czasu, aż esesman po skontrolowaniu całego bloku nie wrócił, nie oddał tabliczki blokowemu, nie zakomenderował: „Mützen auf”.

Wówczas blokowy wydawał komendę: „Ruhrt euch” – spocznij, ale ćwiczenia trwały dalej aż do południa. Blok 8 przeznaczony był dla więźniów odbywających tzw. kwarantannę, która trwała od 4 - 8 tygodni. Musieli ją przejść Zugangi, czyli więźniowie przybywający do obozu. Nasza grupa była na kwarantannie ok. 6 tygodni. Do pracy nie chodziliśmy, tylko na placu apelowym odbywała się musztra, połączona z maltretowaniem. Oprócz zdejmowania i wdziewania czapek ćwiczyliśmy przysiady. Na komendę: Musulamanen! – przysiadaliśmy, a na komendę: Prominenten! powstawaliśmy unosząc ręce w górę. Muzułmanami – nazywano więźniów wykończonych, chudych, a prominentami takich, którzy pełnili różne funkcje np. Lagerältester – starszy obozowy, więzień pełniący najważniejszą funkcję w obozie, Stubenältester - sztubowy, Blocältester - blokowy, Kapo – więzień pełniący obowiązek nadzorca nad tzw. Komandem, Obercapo – więzień, któremu podlegali więźniowie kryminalni, najczęściej narodowości niemieckiej. Cieszyli się oni specjalnymi przywilejami, chodzili lepiej ubrani, na rękawie pasiaka mieli opaskę z napisem funkcji jaką pełnili, byli

lepiej odżywiani, mieli niekiedy więźniów, którzy im usługiwali, na łózkach kołdry, w blokach specjalne szafki. Takie „stanowiska” otrzymywali za specjalne „zasługi”, takie jak: bicie, znęcanie się, pędzenie do roboty, a często mordowanie swoich kolegów; byli to ludzie bez sumienia, często sadyści.

Po ćwiczeniach trwających kilka godzin wybierano kilku silniejszych kolegów, którzy przynosili z kuchni obiad w kotłach i beczkach. Ustawiano w kolejce wszystkich więźniów i rozdawano im miski, których dla każdego nie starczyło, po czym rozpoczynało się rozdawanie „obiadu” tj. zupy, a raczej wody z krajaną w kostkę brukwią, czy ziemniakiem, na jednego przypadało ok. 3/4 litra. Na kolację każdy otrzymywał kubek kawy i podobnie jak na śniadanie pajdkę chleba ok. 350 gram z marmoladą lub margaryną a często suchą.

W drugą niedzielę po przyjeździe do obozu ku naszej radości dowiedzieliśmy się, że możemy pisać listy, ale tylko do osoby, którą się podało jako tę, którą należało zawiadomić w razie śmierci. Poinformowano nas, że listy możemy pisać ołówkiem i tylko w języku niemieckim i dostawać też pisane tylko po niemiecku oraz, że nie wolno nic pisać o życiu obozowym, czy też o tym, że ktoś jest chory lub źle się czuje.

Schreiber (pisarz) blokowy udzielając nam tych informacji zaznaczył, że można pisać tylko krótko i najlepiej zaczynać od słów: „Ich bin gesund und fuhle mich gut” (Jestem zdrow i czuję się dobrze) i kończyć pozdrowieniami. Listy można pisać co dwa tygodnie i to w niedzielę na wydrukowanych formularzach. Oczywiście zabrałem się zaraz do pisania listu do osoby i na adres podany w Schreibstube po przyjeździe do obozu tj. do ukochanej Mani w Czempiniu. Pisałem w nim, że czuję się możliwie, prosiłem o napisanie paru słów, oczywiście tylko w języku niemieckim oraz o przysyłanie skromnych paczek ale wyłącznie z żywnością, co dwa tygodnie możemy je otrzymywać. Podałem również, że można na podany adres przysyłać mi pieniądze, za które coś niecoś da się kupić w obozowej kantynie.

Niedziele przeznaczone były na różne zajęcia. Blokowi przeprowadzali wszelkie czynności porządkowo - higieniczne, ale te dla nas nie należały do przyjemności. W każdą niedzielę było strzyżenie i golenie oraz naprawa i rzadko wymiana ubrań, a wreszcie czyszczenie butów. Fryzjerzy blokowi dobierali sobie do pomocy spośród więźniów danego bloku takich, którzy niby potrafili strzyc, czy golić. Często jednak im to nie bardzo szło, były wypadki okaleczenia brzytwą lub maszynką.

W niedziele również odbywała się kąpiel i dezynfekcja ubrań oraz bielizny. Ważną niedzielną czynnością była „lausenkontrolle” (kontrola zawszawienia), której dokonywali sanitariusze z KB – Krankenbau (szpital). Przychodzili oni zaraz po południowym apelu i przeglądali bieliznę. Znalezienie wszy u więźnia pociągało za sobą poważne nieprzyjemności dla blokowego od komendy lagru oraz karę chłosty dla tego, u którego stwierdzono zawszawienie. Aby tego uniknąć byliśmy wszyscy zobowiązani codziennie w czasie wolnym przeszukiwać bieliznę i wszy zabijać, które niestety mnożyły się niesamowicie w całym obozie.

Robactwo różnego rodzaju, brak środków higienicznych były przyczyną pojawiania się różnych chorób zakaźnych jak: biegunka, dur brzuszny, tyfus.

Niby zapobiegawczo dawano nam na kwarantannie co pewien czas zastrzyki, które były bardzo bolesne z powodu tępych igieł. Ostrzegano nas przed piciem nieprzepracowanej wody. Zwracano też uwagę na to, że jeżeli na jakimś bloku zdarzyłyby się liczniejsze przypadki zachorowań na tyfus, wtenczas chorych by izolowano i zagazowano. O takim tragicznym przypadku opowiadał mi lekarz Czesław Jaworski, z którym od października 1943 roku przez kilka miesięcy pracowałem w komandzie Brünn w Czechosłowacji.

Było to pod koniec sierpnia 1942 roku. Na skutek zarządzenia z Berlina władze obozowe postanowiły przeprowadzić radykalną walkę z tyfusem plamistym. W wyznaczonym dniu Lagerartz (lekarz obozowy) polecił spisać wszystkich chorych

tyfusowych, których wkrótce załadowano na auta ciężarowe i przewieziono do Brzezinki. Pojechało wówczas na gaz ponad 700 chorych i „ozdrowieńców”. Z pogromu tego ocalało tylko 25 osób, spośród kwarantanny potyfusowej, a wśród nich znany artysta rzeźbiarz – prof. Xsawery Dunikowski.

Minęły przeszło dwa tygodnie naszego pobytu w Oświęcimiu. Pewnego dnia wieczorem jakieś poruszenie na bloku. Słyszemy okrzyki „Blocksperrre”. Starsi więźniowie wyjaśnili nam, że to oznacza zamknięcie bloków tj. zakaz ich opuszczania. Nagle podjeżdżają trzy auta ciężarowe pod blok 9. Podchodzimy do okien i widzimy, jak uzbrojeni esesmani wypędzają z sąsiedniego bloku nagich ślaniających się, chudych jak szkielety muzułmanów i pakują ich do samochodów. Sztubowy i niektórzy doświadczeni koledzy odpychają nas od okien, bo nie wolno się było do nich zbliżać. Jeden ze starszych więźniów, pochodzący ze Śremu w zaufaniu powiedział mi, że tego rodzaju tragedia ma miejsce niemal co miesiąc. Odbywa się bowiem w bloku 9 selekcja chorych i tych, którzy są niezdolni do pracy wywożą na gaz do Brzezinki.

Niemal codziennie krótko po apelu stojąc na placu przy bloku widzieliśmy grupę około 15 więźniów prowadzonych przez esesmanów do pobliskiego bloku 11 (jak się później dowiedzieliśmy) do biura politycznego (Politischeabteilung). W tamtą stronę szli o własnych siłach, z powrotem niektórych skrwawionych inni musieli podtrzymywać. We wspomnianym biurze przeprowadzano bowiem przesłuchiwanie i przy tej okazji wielu masakrowano.

Wielkim postrachem dla więźniów był blok 11. Kto się tam dostał, rzadko z życiem wychodził. Szczególnie straszne warunki były w podziemiach tzw. Bunkrze. Znajdowało się tam kilka cel bardzo małych, przepełnionych, do których powietrze dochodziło tylko przez niewielki otwór w ścianie, ludzie więc często się dusili. Była też cęła tak mała, że człowiek mógł w niej się zmieścić tylko w pozycji stojącej (tzw. Stehbunker). Osadzeni tam byli skazani na śmierć głodową.

Ciekawe rzeczy o bloku 10 opowiadał mi wspomniany już lekarz Jaworski. Blok ten przystosowany był do potrzeb stacji doświadczalnej dla kobiet. Lokowano w nim młode kobiety, przeważnie Żydówki i przeprowadzano na nich doświadczenia w dziedzinie sztucznego zapładniania oraz sterylizacji. Niemal codziennie po apelu widzieliśmy prowadzone przez dwóch esesmanów młode kobiety, które uśmiechnięte wychodziły poza bramę obozu, by tam zbierać różne zioła lecznicze. Nie przeczuwały biedne, że po okresie prób pójdą do pieca, by zrobić miejsce następnej grupie „króliczek doświadczalnych”.

W ostatnią niedzielę sierpnia 1943 roku spotkała mnie miła niespodzianka; otrzymałem list od kochanej Mani, w którym oprócz serdecznych słów, pozdrowień, wiadomości o najbliższych, była wzmianka o wysłaniu paczki i pieniędzy na mój adres.

Wkrótce potem otrzymałem paczkę, która zawierała boczek, cukier, masło, ciasto, placek, suchary, a nawet papierosy, chociaż wiadomo było, że nie palę. Sprawilem wielką radość najbliższym kolegom, a szczególnie Kaziowi Grządzielewskiemu, z którym spałem w jednym łóżku oraz Władziowi Sikorze, kiedy ich częstowałem smakołykami no i oddałem do dyspozycji wszystkie papierosy. Z chwilą potwierdzenia odbioru pierwszych paczek, rodzina Korbików zaczęła wysyłać mi je regularnie, co dwa tygodnie, za co byłem jej i jestem zawsze bardzo wdzięczny. Odtąd skończył się głód dla mnie i moich kolegów. Często nie jadałem pożywienia obozowego, a rozdawałem je innym, do których paczki nie docierały.

Minęło 6 tygodni naszego pobytu w obozie, kończyła się dla nas kwarantanna. W dniu 20 września, rano wypędzono nas na plac przy bloku. Musieliśmy ustawić się nago w 10 szeregach; z których następnie musieliśmy kolejno występować popędzani przez blokowego, a lekarz obozowy Entress wskazując palcem, jednych kierował na prawo, drugich na lewo. Byliśmy bardzo zdenerwowani, nie wiedzieliśmy bowiem, po co ta selekcja i co z nami zrobią. Ja i moi koledzy Kaziu oraz Władziu znaleźliśmy się w grupie liczącej 250 więźniów i

to możliwie wyglądających. Esesmani zaprowadzili nas na blok 17, a pozostałych ulokowano w innych. Na drugi dzień na rannym apelu włączono nas do Transportkomanda i ustawiono dziesiątkami. Wyznaczono tzw. Vorarbeiterów, którzy mieli za zadanie pilnować po dziesięciu więźniów i spisać ich numery. Całe komando prowadził Kapo i przed bramą musiał podawać jego stan liczebny esesmanowi, który następnie liczył wychodzących. Pada komenda naszego Kapo: Achtung! Mützen ab! Augen rechts! Przy dźwiękach orkiestry lagrowej, złożonej z więźniów ubranych w ładne, czyste pasiaki przechodzimy obok esesmana odbierającego raport z gołymi głowami i twarzami zwróconymi w jego stronę, ręce trzymamy przy udach. Gdy ostatnia dziesiątka naszego komanda minęła bramę, Kapo zakomenderował: Ruht euch! (spocznij) i Mützen auf! Taka ceremonia odbywała się codziennie, kiedy arbeitskomanda wychodziły do pracy.

Po kilkunastu minutach doszliśmy do stosów kamieni i żelastwa, które musieliśmy ładować na podstawione samochody ciężarowe. Praca była ciężka, nie wolno było przystanąć, wielu za to zostało pobitych przez Vorarbeiterów. Nadeszło wreszcie południe, a z nim upragniona przerwa obiadowa.

Wkrótce nadjechało auto ciężarowe, załadowane kotłami. Kilku Vorarbeiterów pilnowanych przez Kapo rozpoczęło wydawać zupę. Misek oczywiście nie wystarczyło dla wszystkich. Ci, co je otrzymali ustawili się w ogonku i kolejno podchodzili do kotłów. Około godziny 17.30 wracaliśmy do lagru.

Przy bramie obozowej ceremonia podobna do rannej, potem wszyscy biegiem pędziliśmy na swój blok. Po pracy wszyscy musieliśmy wracać do obozu, a jeżeli ktoś pobity nie mógł iść o własnych siłach, koledzy musieli go podtrzymywać i prowadzić, a nieboszczyków nieść. Takie wypadki zdarzały się niestety dość często.

Podczas pracy miały miejsce też próby ucieczki, rzadko kiedy udane. Każdy Vorarbeiter co pewien czas sprawdzał stan swej grupy. Gdyby kogoś brakowało zobowiązany był to zgłosić do Kapo, a ten do esesmana, który kolejno przekazywał do władz obozowych. Wówczas zaczynały wyc syreny obozowe, a wieczorem wszystkich więźniów spędzano na apel i trzymano niezależnie od pogody tak długo, aż nie stwierdzono stanu liczebego więźniów. Przy tej okazji ustalano ilu uciekło, jak się nazywali. Wszelkie próby ucieczki były niesamowicie karane, pociągały za sobą dziesiątkowanie więźniów z danego komanda, następnie umieszczanie ich w bunkrze śmierci, a niekiedy publiczną egzekucją.

Praca nasza w Transportkomandzie nie trwała długo, bo zaledwie kilka dni. Pod koniec września nie wychodziliśmy już poza obóz. Pewnego dnia zaprowadzono nas wszystkich przed rewir, czyli szpital i tam kolejno każdemu pobierano krew.

Po obiedzie niekiedy chodziliśmy sobie po obozie unikając spotkania z tzw. prominentami, którzy nie mogli patrzeć na nie pracujących i bez powodu uderzali kijem. Zapoznaliśmy się też z kantyną gdzie za pieniądze przysłane przez rodzinę kupowałem trochę kiszonej kapusty, zupę tzw. „kantynówkę” – (wodę i trochę w niej ziemniaków). Pewnego razu udało mi się nawet dostać ołówki oraz tytoń, a właściwie trzy paczki machorki grodzieńskiej.

W ostatnim dniu września 1943 roku musieliśmy się wszyscy ustawić w szeregu przed tzw. Bekleidungskammer (składnica odzieżowa). Stąd każdemu po kolei wręczano podwójną bieliznę – starą i nową, ubranie stare i nowe, obuwie stare i nowe i o dziwo, każdy miał przymierzyć, czy mu pasuje. Poza tym każdy otrzymał dwa koce, sweter i płaszcz oczywiście pasiasty. Koledzy z innych bloków nam tego wszystkiego zazdrościli i mówili: „Ale na dobre komando traficie”. Początkowo też byliśmy tego zdania.

Na drugi dzień nastrój nasz radykalnie się zmienił. Wcześniej rano 1 października 1943 roku wyprowadzono nas z bloku 17 i ustawiono w szeregach przed bramą wyjściową. Przeliczono dokładnie wszystkich, a było nas razem 250. Dowiedzieliśmy się, że naszym

Lagerältestrem będzie Alois Freiseisen, a więc znany nam z okrucieństwa blokowy z bloku 8, a Lagerführerem Hauptscharführer Gerhard Palitsch, jeden z najokrutniejszych morderców oświęcimskich, o którym mówiono, że nie zjadł śniadania zanim nie uśmiercił przed ścianą śmierci na bloku 11 strzałem z małokalibrowej broni w potylicę przynajmniej 20 więźniów. Właśnie ci dwaj oprawcy byli dla nas wielkim postrachem.

Tymczasem Palitsch, kiedy stanął przed naszym komandem zapytał Freiseisena, czy wszyscy więźniowie mają łyżki, noże, widelce. Kiedy to usłyszałem, a stałem niedaleko, zastanowiłem się, co my będziemy takiego jeść, że nawet noże i widelce będą nam potrzebne, oraz dokąd nas wywożą.

Nie trwało długo, a nasz Lagerältester wraz z innymi prominentami przyniósł dla każdego pełen ekwipunek do jedzenia i to przeważnie srebrny. Niebawem ruszamy, przechodzimy przez bramę i szybko idziemy na stację. Tam ładują nas do krytych wagonów towarowych po 50 w każdym. Eskortują nas nie esesmani, lecz policjanci niemieccy, którzy jechali po nasz transport i przejęli nad nim „opiekę”. Jedziemy w nieznaną, nikt z więźniów nie wie dokąd. W czasie długiej podróży posilamy się i dzielimy prowiantami otrzymanymi w paczkach od rodzin, chociaż i obóz zaopatrzył każdego w bochenek chleba, kawałek kiełbasy, pół kostki margaryny oraz butelkę lub menażkę z kawą.

W skład naszego komanda wchodzi więźniowie, których numery osobiste są powyżej 136000. Nieliczna grupa niższych numerów przeznaczona jest na obsadzenie takich funkcji Kapo, Vorarbeiterów, fryzjera, pisarza, lekarza. Jedziemy pociągiem już dość długo, a nazwy stacji wskazują, że znajdujemy się na terenie Czechosłowacji.

#### **IV KOMANDZIE BRNO – KOMMAMDO BRÜNN**

W dniu 2 października 1943 roku o świcie przybywamy do Brna. Wychodzimy z wagonów. Liczni policjanci w hełmach z pistoletami ustawiają się w dwóch szeregach, między którymi przechodzimy do autobusów. Do każdego z nich siada kilku uzbrojonych policjantów, i także dostajemy eskortę na motocyklach. Przejeżdżamy przez całe miasto aż na Krowią Górę, gdzie zostajemy ulokowani w czteropiętrowym budynku. Okna na całym piętrze są zabite z zewnątrz drutem kolczastym. Możemy korzystać z łazienek o kilku prysznicach, z dwóch umywalni z bieżącą wodą oraz z czysto utrzymanej ubikacji. W salach łóżka piętrowe ze sprężynowymi siatkami oraz siennikami są wygodne. Spać mamy pojedynczo. Prominenci zajmują część jednej z sal, tuż obok okienka wartowników. Kapo rozmieszczeni na poszczególnych salach pełnią równocześnie funkcje sztabowych.

W południe – obiad: zupa koperkowa, rzadka, przyprawiona papryką, trochę w niej ziemniaków i kawałeczek mięsa. Taką zupę otrzymujemy później przez cały tydzień, a w każdą niedzielę natomiast kminkową znacznie smaczniejszą. Po obiedzie nagle gwizdek na zbiórkę. Zbiegamy szybko na dziedziniec i ustawiamy się w dziesięciu rzędach. Kapo i pozostali funkcyjni na skrzydle.

Rozglądamy się dookoła, widzimy rozległy teren okalający nie wykończony jeszcze budynek. Jest ogrodzony drewnianym płotem, nad którym przymocowane jest kilka rzędów drutu kolczastego. Na zewnątrz ogrodzenia tzw. „bociany” dla postów. Po chwili przychodzi Lagerführer Palitsch w towarzystwie jakiś oficerów SS i policji. Dowiadujemy się, że będziemy zatrudnieni przy wykańczaniu gmachu Akademii Technicznej SS i Policji (Polizei und SS Akademie). Później dowiedzieliśmy się od Czechów z nami pracujących, że to miało być seminarium duchowne.

Każą następnie kolejno występować rzemieślnikom różnych zawodów, spisują ich numery i tworzą specjalne komanda: cieśli, stolarzy, szklarzy, ślusarzy, malarzy, elektryków.

Z pozostałych zostają wybrani prominenci. Reszta ma być zatrudniona przy zwykłych robotach ziemnych, wśród nich i ja oraz niektórzy moi koledzy jak: Kaziu Grządzielewski, Bodziu Majcherek, Władziu Sikora. Po tym rozdziale roboty wracamy do budynku i zjadamy kolację, która składała się z chleba z serem i kawy.

Rano o godzinie 6.00 pobudka. Szybkie sianie łóżek, mycie, śniadanie, zbiórka na apel przed gmachem. Potem szybkie formowanie grup roboczych i wymarsz do pracy. Tak wyglądał każdy dzień powszedni. Początkowo pracowałem przy planowaniu placu wokół budynku. Praca była niezwykle ciężka, trzeba było kuć kilofem w skale, następnie wykute kamienie różnej wielkości ładować na lory, które inna grupa musiała zapychać na wyznaczone miejsce. Wszystko to trzeba było wykonywać w szybkim tempie, nie wolno było przystanąć nawet na chwilę. Za obijanie się w pracy, albo palenie przy tym papierosów czekała winnych surowa kara. Co sobotę po kolacji Palitsch wywoływał spisanych na liście Häftlingów wyznaczonych do karania i z wielkim sadyzmem i siłą uderzał bykowcem minimum 5 razy, a częściej po 10, lub nawet 15 razy w pośladek. W ten sposób zbici więźniowie, posiniaczeni leżeli w łóżkach całą niedzielę, a koledzy przychodzili im z pomocą okładając zmoczonymi bandażami posiniaczoną, pobitą część ciała. W poniedziałek niezależnie od stanu zdrowia musieli iść do pracy.

Na szczęście ja w grupie roboczej przy planowaniu dziedzińca niedługo pracowałem. Pewnego dnia na apelu porannym wywołano nas kilkunastu, pytano o zawód i wykształcenie, po czym skierowano nas do pracy o różnym charakterze wewnątrz gmachu. Mnie, Czesława Jaworskiego i Kazia Grządzielewskiego skierowano do pracy w drukarni. Naszą trójką miał się opiekować wachmistrz policji, który jak się później dowiedzieliśmy nazywał się Hernaux. Po zapoznaniu się z nami zaprowadził nas na parter, gdzie w jednym pokoju pokazał jakąś starą ręczną maszynę drukarską oraz sześć stołów drukarskich z szufladami, w których była masa różnego rodzaju, gatunku i wielkości czcionek drukarskich. Naszym zadaniem było uporządkowanie tych czcionek według wydrukowanych schematów znajdujących się w szufladzie. Nikt z nas nie miał pojęcia o pracy w drukarni, ale zabraliśmy się najpierw do porządkowania czcionek.

Następnego dnia rozpoczynaliśmy pracę o godzinie 7.00. Gdzieś po godzinie naszej pracy przyszedł do nas wachmistrz Hernaux, chwilę porozmawiał i każdego poczęstował pomidorem. Potem dalsze segregowanie czcionek, które szło już nam lepiej i tak aż do obiadu, na który otrzymaliśmy znowu taką samą supę. Zaczynaliśmy już odczuwać głód, bo zapasy zabrane z Oświęcimia kończyły się. Paczek nie mogliśmy otrzymywać, bo Protektorat Czech i Moraw to odrębne państwo. Ta wiadomość bardzo nas zmartwiła. W najgorszej sytuacji znaleźli się palacze, bo tytoń się skończył. Niektórzy z nich zbierali, względnie zrywali liście z rosnących na placu orzechów, suszyli je i robili „skrety” posługując się przy tym papierem gazetowym. Niekiedy korzystali też z dobrego serca Czechów, z którymi spotykali się przy pracy.

Pewnego dnia w czasie obiadu porucznik policji inż. Oskar Payer, Austriak, który kierował budową, zapytał, czy mamy jakieś życzenia. Lagerältester pokazał mu supę, którą właśnie rozlewał i zaznaczył, że wszyscy więźniowie są głodni, a muszą ciężko pracować. Payer obiecał interweniować w tej sprawie. Pewien efekt tego był widoczny, kiedy na śniadanie zaczęliśmy dostawać więcej chleba oraz supę mleczną zamiast kawy.

Z pomocą w miarę swoich możliwości przychodzili nam Czesi. Początkowo zachowywali pewną rezerwę na skutek zarządzenia zakazującego wszelkich kontaktów z więźniami. Stopniowo jednak zaczęli do nas nabierać coraz więcej zaufania, rozmawiali z nami na różne tematy, nawet polityczne. Często przynosili i po kryjomu podawali chleb, trochę wędliny, a palącym papierosy. Nawet więźniowie czescy przewożeni do pracy z

miejscowego więzienia na Szpicbergu dzielili się z polskimi kolegami prowiantami z paczek otrzymywanych z domu.

Do drukami często przychodził młody, sympatyczny wieśniak Hornak, zatrudniony przy budowie jako malarz. Zaprzyjaźnił się z nami, przynosił zawsze coś do jedzenia, palenia, gazety do przeczytania. Przekazywał cenne wiadomości radiowe, które potajemnie zdobywał na krótkich falach. Za pośrednictwem Hornaka cała nasza trójka wysłała grypsy do rodzin. Byliśmy mu za to wszystko bardzo wdzięczni i bardzo zmartwiliśmy się, kiedy przestał nas odwiedzać, bo musiał zmienić miejsce pracy.

Wachmistrz Hernaux był zadowolony z naszej pracy. Tylko Lagerältester występował z pretensjami, że my właściwie nic nie robimy i coraz częściej zaczął nas nachodzić. Twierdził, że nasza robota nie ma sensu i najchętniej przeniósłby nas do jakiegoś prawdziwego Arbietskommanda. Że do tego nie doszło, to już zasługa kolegi Jaworskiego, który zyskiwał coraz większą popularność i zaufanie u porucznika Payera, ponieważ wyleczył go z poważnej choroby.

Dni powszednie mieliśmy spokojne, natomiast niedzielę Lagerältester urozmaicał nam w różny sposób. Po porannym apelu często przeprowadzał karną gimnastykę, z czym były jednak problemy ze względu na stosunkowo nieduży metraż korytarza, a ćwiczących było przeszło 200. Następnie zapędzał nas do mycia okien, sprzątanania sal, siania łóżek, na których sztabowi często wywracali sienniki, a ich właściciele musieli na nowo wszystko porządkować. Ci koledzy, którzy czymś podpadli, musieli myć umywalki, łazienki, ustęp oraz wszystkie okna na korytarzu. Te zajęcia trwały aż do obiadu, po czym odpoczynek, w czasie którego najczęściej dyskutowaliśmy na tematy polityczne lub podziwialiśmy piękny krajobraz rozciągający się wokół budynku.

Pod koniec października, czyli ok. miesiąca naszego pobytu na czeskiej ziemi – sensacja. Przyjechało dwóch esesmanów. Starsi więźniowie rozpoznali, że to z bloku 11. Wielkie zdenerwowanie – po kogo przyjechali, żeby zabrać do bunkra. Wkrótce okazało się, że po Palitscha, o czym dowiedzieliśmy się poufnie od oficerów policji. Jakie były tego przyczyny? Na ten temat krążyły różne wersje. Jedna mówiła o niewykonaniu rozkazu, druga o romansie z piękną Żydówką której przygotowywał ucieczkę. Za to proponowały mu władze gestapo do wyboru następujące kary: albo uwięzienie w obozie koncentracyjnym, albo wysłanie na front wschodni. Wybrał to ostatnie. Kilka lat po wojnie w jakimś czasopiśmie przeczytałem, że Palitsch walczył na terenie Jugosławii, tam został ujęty przez partyzantów i stracony.

Funkcje Lagerführera przejął Obersacharführer Rieger, starszy już człowiek, liczący przeszło 50 lat. Traktował nas zupełnie inaczej niż jego poprzednik. Był spokojny, współczujący naszemu losowi, starał się wyjednać w centrali oświęcimskiej poprawę naszych warunków.

Pod koniec listopada przychodzi do drukarni kierownik budowy por. Payer i prosi dr Jaworskiego o wyjaśnienie działania jakiś leków. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że zbliża się koniec naszego pobytu w Brnie, bo przewidziany był tylko na 8 tygodni zgodnie z umową zawartą z komendą obozu w Oświęcimiu. Ponieważ prace na budowie nie są jeszcze skończone, zarząd budowy wystąpił do władz centralnych w Oranienburgu z wnioskiem o przedłużenie naszego pobytu o pół roku.

Wkrótce po tej rozmowie dowiadujemy się, że wyjeżdża do Oświęcimia tylko 100 więźniów, a 150 pozostaje, a wśród nich nasza trójka z drukarni. Po wyjeździe tej grupy mamy więcej miejsca na salach, możemy wstawić stoły. Schreiber Bolek Olszewski ze spokojem wydaje jedzenie na salach, nie potrzebujemy stać w kolejce, każdy ma swoją miszkę. Przedtem robił to Lagerältester zwykle głośno krzycząc na podchodzących do kotła więźniów. Niekiedy mieliśmy okazję oglądać popisy błazeńskiego fryzjera obozowego

Franza Riegera, pochodzącego z Górnego Śląska. Opowiadał różne kawały, popisywał się grą na pile oraz skonstruowanym przez siebie instrumencie o jednej strunie oraz odgrywał z kolegami różne komiczne scenki. Pewnego razu fryzjer Rieger posprzeczał się z Lagerältesterem, który swym silnym uderzeniem w ucho uszkodził mu poważnie bębenek.

Tymczasem nasza praca segregacyjna w drukarni dobiegała końca. Uporządkowanych zostało około 60 kompletów czcionek. Pewnego dnia przychodzi do nas na kontrolę zastępca wachmistrza Hernaux, również wachmistrz policji z zawodu drukarz, przygląda się naszej pracy, patrzy na maszynę drukarską i mówi, czy wy na niej chcecie drukować przecież ona jest chyba z czasów Gutenberga. Pyta, czy jesteśmy zadowoleni z naszej pracy, czy chcielibyśmy tu dłużej pracować. Jeżeli tak, to szanujcie pracę i ją przedłużajcie. Ja się do was nie będę mieszał – powiedział z uśmiechem, z czego byliśmy bardzo zadowoleni. Po tej wizycie doszliśmy do wniosku, że musimy jednak rozpocząć drukowanie, ale z naszej trójki nikt nie miał o tym pojęcia. Wieczorem zapytałem Władzia Sikorę, czy nie zna się trochę na sztuce drukarskiej. Bywałem niekiedy w drukarni mego znajomego – odpowiedział. Jutro do was zajrzę i może coś poradzę. Rzeczywiście dotrzymał słowa, przyszedł, przeglądnął prymitywne urządzenia, a zwłaszcza maszynę drukarską. Polecił nam zrobić pewien zestaw czcionek w ramce, wkręcić to do maszyny, przy pomocy wałka posmarować farbą i odbijać. Zrobiliśmy najpierw odbitki ręcznie i te wyszły możliwie. Natomiast odbitka w maszynie nie udała się. Następne już były coraz lepsze i dostaliśmy polecenie od Riegera, żeby wykonać napisy na drzwiach poszczególnych referentów z wyszczególnieniem ich czynności i kompetencji, coś w rodzaju wizytówek. Z tą chwilą nasza pozycja umocniła się i mieliśmy nadzieję, że z drukarni na razie nas nie ruszą.

Święta Bożego Narodzenia przeżywamy w smutnym nastroju wspominając czasy, kiedy Wigilię i Święta przeżywalismy w zupełnie innym nastroju, w gronie rodzinnym. Jedzenie w te dni było trochę lepsze. Ja zrobiłem niespodziankę palaczom – Kaziowi i Władziowi – sprezentowałem każdemu paczkę machorki grodzieńskiej, którą kiedyś kupiłem w Oświęcimiu.

W Sylwestra komenda „Akademii” urządziła dla swego personelu wspaniałą wieczór z podarkami i winem, o czym dowiedzieliśmy się nazajutrz. Wino dostarczone w beczkach, było przenoszone i rozlewane w butelki przez naszych kolegów, oczywiście w obecności policjantów. Ale wiadomo, więźniowie nauczyli się już w obozie „organizować”. Niektórzy z nich ukrywali butelki w nogawkach i przenosili na górę do swoich kwater. W Nowy Rok zmiana warty znacznie się opóźniła. Niemal przez cały dzień głośnik na korytarzu był otwarty: mogliśmy słuchać muzyki przeplatanej jakimiś przemówieniami.

W drugiej połowie lutego zaczęła szaleć w naszym obozie epidemia grypy, na którą i ja zachorowałem. Liczba chorych dochodziła do 30. Zachorowali również Lagerführer i Lagerältester. Na szczęście doktor Jaworski szybko się z nią uporał stosując tabletki aspiryny Bayera. Z wielką pomocą chorym przychodził również pielęgniarz Geniu Niedojadło, który za zamknięty w obozie już w 1940 roku wiele przeżył i mimo 21 lat miał już sporo siwych włosów. Każdy chorował przeciętnie 3 dni, po czym wracał do normalnych zajęć. Po wyzdrowieniu zacząłem pomagać koledze Sikorze w jego warsztacie elektrycznym, gdyż praca w drukarni miała się ku końcowi. Nawijałem „szpulki”, z których dwie pierwsze mi nie wyszły, ale następne już się udawały. Praca nie była ciężka, ale trwała do późnego wieczoru, kiedy to przychodził po nas wartownik. Mieliśmy tu doskonałą okazję, żeby słuchać zagranicznych stacji radiowych i dowiedzieć się prawdy, co się dzieje na frontach i polityce, czym dzieliliśmy się zawsze z najbliższymi kolegami.

Na początku marca 1944 roku Lagerführer Rieger został odwołany, bardzo go żałowaliśmy, a jego funkcje przejął młody stosunkowo Unterscharführer Walter, bardziej energiczny, ale uległy wpływom Freiseisena. Okazał się chciwy i zachłanny.



Koledze Bogdanowi Majcherkowi, który miał zdolności artystyczne polecił malować różne obrazy dla siebie, stolarzom robić do nich ramki, Sikorze – radioodbiorniki, szewcowi Abramowiczowi – obuwie damskie i męskie. Nowy gospodarz odwiedził też nas w drukarni: kazał wydrukować dla siebie wizytówki oraz formularze listów z napisem u góry – "Konzentrationslager Auschwitz – Kommando Brünn". Pewnego razu dyskretnie zostawił paczkę papierosów. Z biegiem czasu zaczął z nami rozmawiać, szczególnie na temat dotyczący warunków życia w naszym komandzie. Byliśmy bardzo zaskoczeni kiedy powiedział, że będzie dążył do ich poprawy, a ma kolegę na poczcie w obozie oświęcimskim, który do bagażu przesyłanego stamtąd do Brünn, może wpakować nasze paczki. Polecił nam w zaufaniu powiedzieć kolegom, żeby w najbliższym liście zawiadomili rodzinę, że można wysyłać paczki i listy na nasz obozowy adres oświęcimski. Uczyniliśmy to niezwłocznie. Po upływie około dwóch tygodni przyszedł duży bagaż do komanda, a w nim kilkanaście listów i paczek dla nas. Cieszyliśmy się z tego ogromnie i dzieliliśmy się żywnością z tymi, którzy jeszcze paczek nie otrzymali.

Wiosną niektórzy z kolegów ze strażnikami wychodzili do pracy poza ogrodzenie obozu, często do fabryk, czy wyjeżdżali autami do pobliskich majątków ziemskich. Jeden z nich Marian Koczerba przyszedł pewnego razu do drukarni i prosił mnie po cichu, żebym mu dał trochę farby drukarskiej, bo potrzebuje ją do wymalowania czegoś. Dopiero na drugi dzień wieczorem przyznał się w tajemnicy, że planuje ucieczkę. Podpatrzył jak wygląda w Czechach kominiarz. Chce więc wymalować się na czarno przygotował już miotłę, małą drabinkę i tak jak kominiarz ubrany i wyposażony ruszy w teren, w ten sposób chyba nikomu nie podpadnie. Tłumaczyłem mu, że to nie jest sprawa tak prosta, przecież nie zna ludzi, terenu ani języka, a narazi siebie i swoich kolegów na wielkie niebezpieczeństwo. Maryś ze swego planu jednak nie zrezygnował, ale w podjęciu ucieczki przeszkodziło mu to, że krótko przed naszym wyjazdem jego komando nie wychodziło już do pracy.

Ostatecznie po licznych telefonach do centrali w Oranienburgu zostało ustalone, że na miejscu zostanie 25 najlepszych potrzebnych specjalistów: stolarzy, ślusarzy, elektryków oraz radiotechnik tj. Władziu Sikora. Zatrudnieni oni będą w warsztatach, a pozostali wyjadą do Oświęcimia. Nasza trójka udała się do porucznika Payera, by prosić go o włączenie do tych 25 fachowców. Porucznik przyjął nas bardzo serdecznie, rozumiał nas dobrze, ale nie miał pewności, czy uda mu się naszą prośbę pomyślnie załatwić. Podziękowaliśmy mu za dobre serce dla nas, pożegnaliśmy się serdecznie i życzyliśmy sobie wzajemnie szybkiego odzyskania prawdziwej wolności. Porucznik Payer zawsze podkreślał, że jest Austriakiem, że wojna się niedługo skończy i to klęską hitlerowców, w wyniku czego jego ojczyzna znowu będzie państwem niepodległym, tak samo jak Polska i inne kraje w Europie okupowane przez Niemców.

Rano 1 maja 1944 roku wyruszył pieszo na dworzec w Brnie oddział liczący 80 Häftlingów, wśród nich także Kaziu Grządzielewski i ja. Natomiast kulejącego doktora z jednym gorączkującym chorym przewieziono autem. Wieczorem tego samego dnia dotarliśmy do Oświęcimia. Tam dowiedzieliśmy się, że tzw. nebenlagry (podobozys), a więc i nasz są przydzielone do Auschwitz III, czyli tzw. Buni albo Monowitz.

## W MONOWICACH

W dniu 1 maja 1944 roku około godziny 23.00 z Oświęcimia przybyliśmy do Monowic. W miejscowości tej i w pobliskich Dworach oddalonych o ok. 7 km od Oświęcimia w kwietniu 1941 roku przystąpiono do budowy zakładów Buna - Werke należących do

koncernu IG - Farbindustrie, gdzie w nowo wybudowanej fabryce podjęto produkcję sztucznej gumy zwanej „buną” oraz syntetycznej benzyny.

Do prac przy budowie wykorzystywano więźniów z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, których początkowo przyprowadzano codziennie, a w okresie późniejszym dowożono wagonami towarowymi. Na żądanie koncernu wybudowano na terenie przyfabrycznym duży obóz, w którym w październiku 1942 roku ulokowano więźniów z KL Auschwitz, a w listopadzie 1943 roku w trakcie podziału tego lagru na trzy obozy, został przemianowany na KL Auschwitz III – Aussenlager (zewnątrzny) przez więźniów zawsze był nazywany „Buna”. Zginęło w nim około 30 tysięcy osób. Obozowi temu podlegały również podobozy tworzone przy zakładach przemysłowych, hutach i kopalniach takich jak: Jawiszowice, Jaworzno, Gliwice itd.

W Bunie pozostało zaledwie kilku kolegów z Brna. Kaziu Grządzielewski z nieliczną grupą został wywieziony do Jawiszowic, doktor Jaworski i pfleger Niedojadło zostali zatrudnieni w miejscowym szpitalu. Razem ze mną w jednym bloku spał i pracował tylko Bogdan Majcherek, czułem się więc początkowo bardzo osamotniony. Pracowaliśmy początkowo, ale tylko krótko na szczęście w Transportkommandie na terenie rozległej fabryki, ogrodzonej siatką dość grubą, a nad nią przeciągniętych było kilka drutów kolczastych. Praca nasza polegała na załadowywaniu, układaniu sztab żelaznych, żelaza zbrojeniowego i przewożeniu z „Eisenplatzu” do rozbudowującego się „Karbidwerke”. Tam również załadowywaliśmy i układaliśmy butle z tlenem. Z fabryki wracaliśmy zmęczeni i głodni, ale trwało to tylko cztery dni. Wieczorem przed kolacją przychodzi pod nasz blok jakiś niewysoki więzień – Polak z czerwonym winklem, a więc polityczny i pyta się: kto z nas zna język niemiecki i możliwie poprawnie pisze? Początkowo nikt się nie zgłasza. Po namyśle zgłaszam się i namawiam stojącego obok mnie Bodzia. Rozpoczyna się koleżeńska rozmowa. Gość przedstawia się: Nazywam się Mieczysław Sadomski, mówcie mi „Mietek”, pochodzę z Warszawy, jestem starym więźniem, od lipca 1940 roku w Oświęcimiu, pracuję tutaj w Schreibstube i mam polecenie żeby znaleźć przynajmniej dwóch kolegów znających język niemiecki i podać ich numery w naszym biurze. Jutro więc na apelu nie włączycie się do waszego komanda, tylko zostaniecie na miejscu, a ja po was przyjdę.

Tak jak powiedział, po apelu zjawia się Mietek, prowadzi grupę więźniów – Żydów, każe im się ustawić w szeregu i kolejno podchodzić do stołów, za którymi siada on, Bodzio i ja. Każdy musi podać nazwisko, imię, datę urodzenia i inne dane personalne, a my musimy to czytelnie pisać. Okazuje się, że to Żydzi z Węgier. W pewnej chwili patrzę na jednego z nich, który właśnie coś pisze na kartce pocztowej. Píše miejscowość, datę i adres. Uderza mnie nazwa miejscowości: Waldensee. Pytam go, dlaczego taką miejscowość podaje. Tak nam kazano oraz ostrzeżono, żeby tylko krótko pisać i poinformować rodzinę, ze stąd wkrótce wyjeżdżamy do pracy. Powiedziałem mu w zaufaniu, żeby nie pisał adresu rodziny, lecz jakiś inny, np. zakładu gdzie pracował, gdyż w ten sposób Niemcy uzyskiwali adresy Żydów. Dążyli oni bowiem do zupełnej likwidacji nacji żydowskiej w tym kraju.

Maj i czerwiec 1944 roku, były to miesiące, w których codziennie przyjeżdżało do Brzezinki ok. 10 tysięcy Żydów z Węgier. Pędzono ich najczęściej całymi rodzinami do komór gazowych. Krematoria nie nadążały palić wszystkich zwłok, więc rzucano je do wykopanych dołów, polewano ropą i palono. Niekiedy przeprowadzano przed gazowaniem selekcję i młode, zdolne do pracy osoby wywożono do podobozów oświęcimskich, gdzie przydzielano ich do komand pracujących w miejscowym zakładzie przemysłowym. Właśnie my: Bodzio i ja z Mietkiem nanosiliśmy na listę ich nazwiska i numery. Nie wszyscy wtenczas wiedzieli, co stało się z tymi, którzy zostali w Brzezince. Praca nasza w charakterze schreiberów kończyła się. Mietek zapewniał nas, że załatwi nam zatrudnienie w możliwym komandzie i najlepiej będzie, jeżeli znajdziemy się w jego grupie pracującej w

„Malereibetrieb”. Na drugi dzień po apelu włączono Bodzia i mnie do Malerkommando, które miało numer 83. Jego Kapem był Polak, więzień polityczny, traktował więźniów po koleżeńsku, miał zdolności artystyczne, malował ładne obrazy, głównie portrety. Nazywaliśmy go „Matejko”, lubił muzykę, śpiew i dlatego w drodze do pracy oraz z pracy całe jego komando musiało śpiewać.

Tymczasem do obozu przybywały nowe transporty tzw. Zugangów, najczęściej Polaków i Żydów. W związku z tym następowały przemieszczenia więźniów w niektórych blokach. Również i nas to spotkało. Znalazłem się z kolegą Majcherkiem na bloku 56, którego blokowym był Bruno Neumann – Niemiec znający dość dobrze język polski. Był to właściwie drewniany barak, jeszcze niezupełnie wykończony. Nie było łóżek, spaliśmy bez przykrycia na siennikach wypchanych słomą. Mimo, że na dworze było stosunkowo ciepło, w nocy dokuczało nam zimno, bo przecież przy nędznym odżywianiu w organizmie brakowało witamin. Na szczęście pod oknami w każdej sztubie zainstalowano rury, ogrzewane przez centralną ciepłownię znajdującą się na terenie fabryki. W nocy więc włączaliśmy ciepłą wodę i dzięki temu nie marzliśmy.

Minęło zaledwie kilka dni od naszego przyjazdu do Buni, a tu dokładnie 8 maja, właśnie w dniu moich imienin – wielkie zdenerwowanie. Wieczorem po apelu rozlegają się okrzyki: „Alle Polen nach vorne!” – wszyscy Polacy naprzód! Blokowi wypędzają wszystkich Polaków z bloków na plac apelowy i ustawiają w szeregach. Zdajemy sobie sprawę, że czeka nas coś strasznego tym bardziej, że już przedtem rozeszła się pogłoska o ucieczce 3 więźniów. Z naszego bloku docieramy na plac, kiedy już pierwsze szeregi zostały ustawione, a więc stajemy z tyłu. Tymczasem zaczyna się mimo okrzyków i bicia przez Kapo i blokowych wzajemne przepychanie tak, że znaleźliśmy się w trzecim i czwartym szeregu. Kiedy już wszyscy zostali ustawieni, Lagerältester Paul Kotzerwa daje komendę: „Achtung! Alle stillstand!”. Wszyscy stają na baczność i milczą. Wówczas na podwyższenie wchodzi komendant obozu Untersturmführer Heinrich Schwarz i przemawia do nas po niemiecku, a dolmetscher (tłumacz) przekazuje to w języku polskim. Pamiętam niektóre jego zdania: „Polacy, mówi, czy wam się tu jakąś krzywda dzieje? Jeżeli tak, to niech śmiało wystąpi i powie. Zapewniam, że za to nie spotka go żadna kara. Chwilę czeka i milczy. Potem kontynuuje swoje przemówienie. Dzisiaj uciekło trzech więźniów, dlaczego to zrobili, przecież tu im się żadna krzywda nie dzieje. Dzisiaj wybierzemy za każdego z nich 5 Häftlingów i postaram się u Reichsführera SS Henricha Himmlera, żeby ich ukarać śmiercią. Jeżeli te ucieczki będą się powtarzać, to za każdego flüchtlinga (uciekinię) wybierzemy na stracenie 10, potem 20 itd. Następnie Lagerführer zaczyna dziesiątkowanie, co dziesiąty musi wystąpić z szeregu i stanąć przed frontem. Wszyscy ze łzami w oczach zachowują się po bohatersku. Ja też to strasznie przeżyłem, tym bardziej, że ostatni z wybranych stał niedaleko mnie.

Całą tę piętnastkę dwóch esesmanów odprowadziło do bunkra. Co się z nimi stało, nie wiadomo. Podobno odwieziono ich na blok 11 w Oświęcimiu, gdzie chyba ich wykończono. Długo nie mogliśmy zapomnieć tego tragicznego wydarzenia.

W niedzielę Bodziu i ja mieliśmy też dużo roboty, oprócz bowiem pisania listów do swoich rodzin, wyręczaliśmy w tym swoich kolegów z bloku, czy komanda nie znających języka niemieckiego. Robiliśmy to bezinteresownie, więc mieliśmy bardzo dużo klientów. Inni za każdy list żądali przynajmniej pajdkę chleba.

W Monowicach głodowaliśmy dopóki nie zaczęły do nas przychodzić paczki od rodzin. Początkowo pomagałem przy malowaniu i maskowaniu hal fabrycznych, które przypominały kolorami maskowane mundury wojskowe. Nad oparkaniem fabryki w pewnej odległości unosiły się balony na uwięzi, które miały stanowić pewne przeszkody dla pikujących bombowców alianckich. Później dzięki Mietkowi Sadomskiemu, który wraz z

kolegami po poszczególnych halach, obliczał ich wymiary oraz wszystkie dane przekazywał do tzw. Malerietrieb, zostałem tam zatrudniony w charakterze schreibera. Praca tam polegała na pisaniu w specjalnej książce, raportów z każdego dnia, podawania ilości fachowców, więźniów, godzin przepracowanych, wypisywaniu tzw. „Lohnzettel” – czyli listy płac itp. Wszystkie te dane sprawdzał niemal codziennie szef biura inżynier Thieme, miły, uśmiechnięty, pełen humoru, lubiący Polaków. Pewnego razu poczęstował mnie i innych cygarami. Często też przychodził do biura z rachunkami majster Mayer, dobrze traktował Polaków, natomiast nienawidził Żydów. Razem ze mną pracowało dwóch sympatycznych, inteligentnych więźniów – Żydów, z którymi zżyłem się i bardzo zaprzyjaźniłem. Byli to: Taube z Austrii, znający kilka języków, chorował na gruźlicę i wąpnię, czy przeżył gehennę obozową oraz Lottermann urodzony w Polsce.

Kiedy nasi opiekunowie wychodzili na śniadanie lub jakąś naradę, częstowałem obu kolegów czymś do zjedzenia, póki oczywiście zostało coś z paczek i zaczynała się pogaduszka na różne tematy. Na początku lipca 1944 roku już nas Polaków nie wyprowadzano poza bramę obozu i tylko Żydzi pracowali w fabryce. W międzyczasie przeżyłem kolejne dwa dziesiątkowania spowodowane ucieczkami więźniów.

Po 20 lipca zaczął się bałagan w obozie. Na jego teren wjeżdżali wozami załadowanymi różnym bagażem niemieccy uciekinierzy. Do nas docierały wiadomości o zamachu bombowym na Hitlera w jego kwatery głównej, o przekroczeniu Bugu przez Armię Radziecką, a także o tym, że w obozie na Majdanku koło Lublina tych więźniów, których nie zdołano ewakuować, esesmani wymordowali.

Okolo 10 sierpnia zaczęła się stopniowa ewakuacja obozu. Odchodziły grupy więźniów do Oświęcimia, a stamtąd jak się dowiedzieliśmy, wywożono ich w głąb Niemiec. Z kolegami Mietkiem Sadowskim i Bogdanem Majcherkiem doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli to możliwe najwcześniej stąd wyjechać w głąb Niemiec, bo gdy front tam dotrze, to wojna się skończy, będziemy wolni i unikniemy tragedii jaka spotkała kolegów w Majdanku.

W dniu 13 sierpnia rano spędzono na plac apelowy z bloków ok. 1500 więźniów. Przeprowadzono nas do obozu Auschwitz I, następnie ku naszemu przerażeniu dalej w kierunku Birkenau. Przechodzimy tam przez główną bramę, ładują nas po 100 do jednego wagonu. Jest bardzo ciasno, pytamy się wzajemnie, co się z nami stanie? dokąd nas wywożą? Każdy dostaje po pół bochenka chleba. Wreszcie pociąg rusza i ku naszemu przerażeniu jedzie w kierunku komór gazowych. Nie pójdziemy do gazu jak barany – mówimy, wyrwiemy esesmanom karabiny i rzucimy się na nich, będziemy walczyć do ostatniego. Tymczasem pociąg zostaje przetoczony na inny tor i zmienia kierunek. Ku naszemu zadowoleniu szybko opuszczamy obóz śmierci Birkenau ruszając w kierunku zachodnim. Dopiero w dniu 15 sierpnia rano docieramy zmęczeni do Buchenwaldu.

## **W BUCHENWALDZIE „DORZE”**

W dniu 15 sierpnia 1944 roku, zmęczeni długą jazdą wysiadamy na dworcu w Buchenwaldzie, skąd pędem gnani przez postów zbliżamy się do głównej bramy obozu. Po lewej stronie przed wejściem rzuca się nam w oczy duży, wysoki stos obuwia, chyba już bezużytecznego, odebranego więźniom. Po prawej stronie ładne budynki esesmanów, a obok jednego jakaś tabliczka na słupie z napisem „zum Löwe” (do lwa). Dowiedziałem się później od starych więźniów buchenwaldzkich, że od tego miejsca prowadzi ścieżka do basenu, a w nim jest mała wysepka, a w niej klatka z lwem. Zwyródniiali esesmani zarzucali pomost na wysepkę, wpędzali więźnia i uniemożliwiając mu ucieczkę pozostawiali na pożarcie przez lwa, a sami zachwycali się strasznym widowiskiem jak Rzymianie za Nerona.

Przechodzimy przez bramę, gdzie stojący na warcie esesman i raportschreiber nas liczą i dane zapisują. Zaraz po prawej stronie budynek, gdzie urządzony jest bunkier przeznaczony do karania więźniów. Prowadzą nas na plac apelowy, a stamtąd do namiotów ustawionych na krańcu obozu. Nie ma już wolnych miejsc w blokach, które są przepełnione z powodu licznych transportów Polaków, uczestników powstania warszawskiego. W namiocie musimy spać na rozłożonej słomie i to na siedząco, jeden między rozłożonymi nogami drugiego, tak jest ciasno. Męczymy się strasznie, bo nie można się ani położyć, ani odwrócić. Mija noc, nie wyspani wychodzimy z namiotu i ustawiamy się w szeregu. Po przeliczeniu wszystkich esesmani prowadzą nas do bloku, gdzie mają nas fotografować w trzech pozycjach. Każdy musi odwrócić głowę w lewo, prosto i w prawo. Otrzymujemy też numery, mnie przypada numer 80599. Rozchodzimy się i spacerujemy po obozie. Podpada nam, że więźniowie mają lepiej niż w Oświęcimiu. Funkcyjni czy to blokowi, czy sztubowi, a nawet Kapo mają prawie wszyscy czerwone winkle, czyli są więźniami politycznymi. Traktują nas po koleżeńsku, nie biją nie krzyczą a mimo to utrzymują dyscyplinę. Niestety nasz pobyt w Buchenwaldzie trwa krótko. Na trzeci dzień naszą dość liczną grupę esesmani prowadzą i ładują do wagonów towarowych. Jedziemy przez piękne, górzyste okolice. Pociąg zwalnia i po chwili staje. Wsiadamy, popędzani przez eskortujących i docieramy do jakiejś kotliny, w której są widoczne baraki i takie same na zboczach wzgórza. Cały teren ogrodzony jest drutami kolczastymi, oczywiście pod napięciem, a na zewnątrz ogrodzenia widać wieże wartownicze w odległości około 100 metrów jedna od drugiej. Idziemy w kierunku wejścia do obozu. Po prawej stronie drogi prowadzącej do niego widzimy tor kolejowy biegnący w kierunku wejścia do tunelu podziemnego. Esesmani przez bramę prowadzą nas jak zwykle na plac apelowy. Chwilę stoimy w zwartych szeregach i rozglądamy się dookoła. Przychodzi Lagerführer i przemawia do nas. Zwraca szczególną uwagę na dyscyplinę, sumienną pracę i unikanie kontaktów z cywilną ludnością. Więźniowie ze schreibstuby zaczynają spisywać dane personalne i zwracają uwagę na to, że każdy zatrzymuje taki numer, jaki dano mu w Buchenwaldzie tylko dochodzi do niego litera „D” bo ten obóz nazywa się „Dora”. Kiedy *spisujący* personalia pyta o zawód podaję: brukarz, gdyż miałem nadzieję, że w ten sposób będę pracował na powierzchni. Niebawem przychodzi jakiś blokowy i zabiera nas na blok 140, znajdujący się na wzgórzu dość daleko od placu apelowego. Potem rozchodzimy się po obozie, gdzie spotykam kolegę Mietka Sadomskiego, z którym rozstałem się w Buchenwaldzie. Ucieszyliśmy się ogromnie. Okazuje się, że on przyjechał do „Dory” dwa dni wcześniej ode mnie. Pyta jaki zawód podałem, gdy mówię, że brukarz poradził mi żebym jutro przy rozdziale pracy w tunelu powiedział prawdę, że jestem nauczycielem i że znam język niemiecki to dostanę lepszą pracę. Obecnie bowiem Niemcy zatrudniają w miarę zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami, zanim bowiem fabryka została uruchomiona wszyscy pracowali ciężko przy wykuwaniu tuneli. Przewidywania Mietka się spełniły. Zostałem przydzielony do komanda KO – kontrola.

Od 1 października 1944 roku obóz pracy „Dora” podporządkowany dotychczas obozowi koncentracyjnemu Buchenwald, staje się samodzielnym obozem koncentracyjnym i nazywa się Mittelbau „Dora”. Liczył wówczas przeszło 13 tysięcy więźniów różnych narodowości. Komendantem obozu był wówczas Sturmbannführer SS Otto Ferchner, a od stycznia 1945 roku Sturmbannführer Richard Baer. Obóz położony był około 7 km na północny zachód od miasteczka Nordhausen. Przy placu apelowym w jednym z baraków urządzono „puff” (dom publiczny). Wstęp do niego kosztował 1 markę. Było tam do dyspozycji 10-12 kobiet, więźniarek Ravensbrück, aresztowanych przeważnie za prostytutkę. Korzystać z tej instytucji mogli wszyscy więźniowie z wyjątkiem Rosjan, a korzystali przede wszystkim funkcyjni, którym sił i marek na to starczało. Po jednej stronie placu apelowego rzucał się w oczy murowany, długi i masywny barak, izolowany od obozu. Był to bunkier, a przed nim stała szubienica, budząca zawsze postrach w więźniach. W ośmiu barakach

urządzono coś w rodzaju szpitala dla chorych, a niedaleko pobudowano duże krematorium, po rozebraniu starego prowizorycznego, gdzieś w końcu września 1944 roku. Nigdy nie zapomnę tego strasznego widoku: ilekroć przechodziliśmy obok tego dużego krematorium do pracy w podziemiu, widzieliśmy stojące tam duże samochody z przyczepami załadowanymi trupami oraz więźniów zrzucających je na stosy. Był to okres, kiedy w okolicznych górach zaczęli budować podziemne fabryki, zakładać obozy podobne do „Dory”, a wielu ludzi tam zginęło, ciała zaś, a właściwie szkielety zmarłych więźniów przewożono do naszego obozu na spalenie.

„Dora” podziemna składała się z dwóch tuneli i 46 sztolni, w których urządzone hale fabryczne. Produkowano tam *vergeltungswaffe* (broń odwetowa) – skrót V. Dokonywano tu montażu końcowego V1 i V2.

Wszystkich więźniów zatrudnionych w sztolniach i tunelach, a więc związanych z produkcją pocisków V obejmowano jedną wspólną nazwą „Kommando Sawatzki” od nazwiska szefa produkcji Albina Sawatzkiego, w skład którego wchodziły mniejsze komanda, między innymi także moje KO. Więźniowie w nim zatrudnieni musieli sprawdzać, czy poszczególne podzespoły są bezbłędnie wykonane i nadają się do ostatecznego montażu rakiety. Jeżeli czegoś nie dopatrzyli, albo nie zgłosili jakiś braków majstrowi, byli za to surowo karani. Przenoszono ich do Strafkommando (karnego komanda), a nawet do bunkra. Do korpusu rakiety V2 wmontowywano wiele różnych części m.in. zbiorniki na materiały napędowe. Montaż ich odbywał się w halach 25 i 26. Tam właśnie pracowałem z kol. Ignacym Maleszą z Częstochowy – telefonistą z zawodu i jakimś Niemcem Riegerem, również więźniem politycznym. Opiekowali się nami obermajster Sternitzky, majster Maas oraz inżynier Kamski, który pochodził ze Lwowa, tam studiował, a ożenił się z Niemką. Zaznaczał, że nie jest Niemcem, tylko Austriakiem, słabo mówił po niemiecku, miał dobre serce. Polubił nas i często przynosił ziemniaki usprawiedliwiając się, że na coś więcej go nie stać. Pewnego razu gdy byliśmy sami zaproponowałem mu żebyśmy rozmawiali ze sobą po polsku, bo będzie łatwiej się dogadać. Inżynier zgodził się na moją propozycję. Na czym polegała nasza praca? Otóż grupy po sześciu więźniów wносиły na naszą halę po jednym dużym zbiorniku i umieszczały go na niskim drewnianym podwoziu na małych kółkach. Myśmy musieli ten tzw. behälter wnieść i ustawić na dość wysokim urządzeniu, gdzie odmierzaaliśmy dokładnie długość, przekrój i kąty nachylenia oraz odległość poszczególnych otworów w zbiorniku, wszystkie te dane trzeba było spisywać na drukowanych formularzach, jeżeli się one nie mieściły w normach, trzeba było dużymi literami kredą napisać „unfähig” (nie nadający się) i odstawić w głąb sali. Inżynier Kamski widząc nasze wysiłki przy dźwiganiu zbiornika skonstruował małą dobrze działającą windę i w ten sposób ułatwił nam pracę. Do korpusu rakiety V2 wmontowywano dwa aluminiowe zbiorniki na materiały pędne, jeden na alkohol, drugi na ciekły tlen, a każdy po 4 000 litrów. Praca w komandzie Sawatzki odbywała się na dwie zmiany. Jeden tydzień chodziliśmy do podziemia na dzień, następny pracowaliśmy w nocy. Czas roboczy wynosił 12 godzin. Często jednak po zakończeniu pracy w halach wyprowadzano nas poza obóz, skąd musieliśmy dźwigać zrzucane z wagonów kamienie kilkaset metrów aż do dróg, na których wzmacniano nawierzchnie. Konwojujący esesmani pilnowali, żeby każdy dźwigał odpowiednio duży kamień. Jeżeli ktoś niósł mały, dokładali mu jeszcze dwa, a nawet trzy. Sprytni więźniowie po drodze je wyrzucali, a zostawiali tylko jeden. Najgorzej wychodzili ci, którzy maszerowali na końcu, bo musieli wszystkie porzucone kamienie pozbierać i zanieść na wyznaczone miejsce.

W miejscu pracy czułem się lepiej niż na bloku. Zżyłem się z kolegą Maleszą często szczerze mogłem porozmawiać z inżynierem Kamskim, a szczególnie z majstrem Maasem, który sam przeżył tragedię, bo stracił syna na froncie wschodnim. Był zdania, że wojna się wkrótce skończy i to klęską Hitlera.

Na blokach często przeprowadzano zmiany funkcyjnych i więźniów. Z bloku 140 zostałem wkrótce przeniesiony na 104, położony blisko placu apelowego. Blockältestrem był tu niemiecki kryminalista Karl Bringer, okrutny sadysta. Koledzy, którzy ze mną przyjechali z Bunu znaleźli się na innych blokach. Zaprzyjaźniłem się z niejakim Józefem Strobalem. Spałem w jednym łóżku „na waleta” z Francuzem, któremu na imię było Etienne (Stefan). Był bardzo leniwy, musiałem go zawsze przepędzać do umywalni, bo mi jego nogi śmierdziały. Chociaż znałem możliwie francuski, nie mogłem się z nim dogadać, bo mówił jakąś niezrozumiałą dla mnie gwarą. Pod koniec sierpnia 1944 roku duża niespodzianka. Pozwolono nam korespondować z rodzinami mieszkającymi na tych terenach, do których dociera poczta niemiecka. Nie było takich dużo. Do tych wyjątków należałem ja. Na szczęście znałem i pamiętałem adres mojej rodziny, wywiezionej w głąb Niemiec. Był on taki: Grafenbrück UB. Wieda Kreis Gera, Thuringen. Blokowy dał mi kartę pocztową objaśnił, że należy pisać ołówkiem, krótko i podać następujący adres nadawcy „Sangerhausen" Sa Block 104, przy nazwisku napisać datę urodzenia oraz swój numer z literą „D". Ciekawe, że przecież „Dora” jest położona niedaleko Nordhausen, miasta leżącego w Turynii, a nie w Saksonii. Oczywiście chodziło w tym wypadku o zachowanie tajemnicy położenia obozu, a szczególnie fabryki bomb V-1 i V-2. Kartki tego rodzaju można było wysyłać co dwa tygodnie, również paczki otrzymywać w tym samym terminie. O tym napisałem w dostarczonej mi karcie pocztowej. Po upływie niespełna dwóch tygodni otrzymałem list i paczkę od rodziców, mieszkających niedaleko, bo ok. 100 km od naszego obozu. Skończyło się dla mnie oraz najbliższych kolegów głodowanie, bo dzieliłem się z nimi prowiantem z paczek, które niemal co 2 tygodnie przychodziły. Wręczał mi je zawsze blokowy, dawał spis zawartości i kazał sprawdzić, czy czegoś nie brakuje. Ja natomiast wyjmowałem ze spodu paczki papierosy, częstowałem go i kilka wręczałem. Chciał mi się zawsze odwdziżyć i dawał kawałek margaryny, a niekiedy wędliny. Nie przyjmowałem tego nigdy, bo sumienie mi na to nie pozwalało. Przecież on dałby mi te prezenty nie ze swojej porcji, ale z tego co zabrałby kolegom zawsze głodującym.

Wielkim przeżyciem była dla mnie Wigilia i Święta Bożego Narodzenia, trzecie i ostatnie poza rodziną. Poprosiłem na nasz blok kolegów: Mietka Sadowskiego i Igancego Maleszę. Usiedliśmy razem przy stole jeszcze z innymi Polakami z bloku 104, dzieliliśmy się opłatkiem zgodnie z naszym zwyczajem, sucharkami, które mi rodzice przysłali i razem z zupą obozową jedliśmy wieszczkę śpiewając kolędy. Podziwiali nas Francuzi, a nawet ruszyło też sumienie groźnego blokowego, który życzył nam fröhliche Weinechten (wesołych świąt Bożego Narodzenia) i zaczął śpiewać znaną kolędę niemiecką: Heilige Nacht, stille Nacht! Potem krótko przemówił zaznaczając, że są to jego 13-te święta spędzone w więzieniu i obozie, ale i ostatnie. Przez oba święta nie chodziliśmy do pracy, odpoczywaliśmy.

Krótko po Nowym Roku miałem nieszczęśliwy wypadek. Kiedy wieczorem szliśmy do pracy, było ciemno, na drodze leżało dość dużo śniegu. Większość z nas miała drewniane obuwie, w którym zwłaszcza w zimie chodziło się niewygodnie. Przechodziliśmy przez tory, na co niestety nie zwróciłem uwagi, zahaczyłem o szynę i się wywróciłem, raniąc sobie poważnie kolano. Kulejąc doszedłem jakoś do hali. Zauważył to majster Maas i polecił iść do biura, żeby mi pielęgniarz tę ranę zaopatrzył. Ponieważ nie było bandaży, pfleger na posmarowaną jakąś maścią ranę nałożył papier toaletowy, który przy chodzeniu ocierał ranę, co sprawiało straszny ból. Coraz bardziej kulałem i gdy to zobaczył inżynier Kamski polecił mi abym zgłosił się do szpitala, a żeby mnie później nie przeniesiono do innego komanda wręczył mi pismo, w którym stwierdzał, że jestem niezbędny i należy mnie jak najszybciej wyleczyć oraz zaopatrzyć w skórzane obuwie i czyste ubranie. Z tym pismem zgłosiłem się do szpitala, gdzie poddano mnie intensywnemu leczeniu, a obawiałem się, że mogą to być początki flegmony. Po czterech dniach rana się zagoiła i zwolniono mnie ze szpitala. Następnie udałem się by pobrać skórzane obuwie i czyste ubranie. W „Dorze” dla więźniów

nie starczało pasiaków, więc dawano ubrania cywilne z tym, że w marynarce na plecach był wszyty kawałek materiału z pasami i tak samo w spodniach. Oczywiście numery z winklami musieli mieć wszyscy. Po załatwieniu wszystkich formalności wróciłem do pracy, ale już na dwa tygodnie trafiłem do innej hali. Praca nie była tu ciężka, ale niebezpieczna. Przy pomocy dźwigu podnosiło się na około 4 metry wysoką tylną część rakiety, gdzie była komora spalania i stawiało się ją na ramę, w której wmontowana była pionowa iglica służąca do dokładnego wymierzania środka komory. Następnie wchodziliśmy po drewnianej drabinie do wnętrza komory, kładliśmy kolejne, poczynając od góry deseczki na pierścieniu, siadaliśmy na dnie i przy pomocy szpachelki uderzanej drewnianym młotkiem, badaliśmy czy blacha jest dobrze przyspawana do pierścieni. Jeżeli w którymś miejscu odchodziła, to musieliśmy je zaznaczyć kredą. Przy tych czynnościach trzeba było uważać, żeby nie spaść na ostrą iglicę, co się zdarzyło memu poprzednikowi, który po takim upadku stracił przytomność i został w poważnym stanie zabrany do szpitala. Pracowałem razem z Francuzem Etienne, z którym spałem w jednym łóżku i z powodu jego lenistwa musiałem uważać na siebie i na niego. Do pracy w komorze potrzebna była żarówka, którą regularnie przed zakończeniem pracy Etienne rozbijał. Ostrzegałem go, że to się może dla nas źle skończyć, gdyż Niemcy mogą to uznać za sabotaż, za który karali śmiercią. Wkrótce jednak wyszedł ze szpitala mój poprzednik i wróciłem do pracy przy zbiornikach. Pewnego razu jeden z więźniów napił się spirytusu, którego resztki znajdowały się nieraz w zbiornikach, które wymontowano z rakiety z powodu jakiegoś defektu. Wypił tego spirytusu dość sporo i w pewnym momencie upadł i dość długo leżał na betonie za zbiornikiem. Zauważył go majster – surowy Niemiec prowadzący grupę więźniów noszących zbiorniki do hali. Zaczął pijanego bić i krzyzczeć: „Er ist besoffen!” (On jest pijany). Chcąc przyjść koledze z pomocą tłumaczyłem oprawcy, że on zasnął z powodu zmęczenia. Moje tłumaczenia odniosły skutek i majster przestał go maltretować, jednak wkrótce kolega ten znalazł się w szpitalu, gdzie stwierdzono u niego gruźlicę. Myśmy z kolegami wykorzystywali ten spirytus do nacierań pogryzionego przez wszy i pluskwy ciała. Z jedzeniem było coraz gorzej. Ratowały mnie i moich kolegów paczki regularnie co dwa tygodnie przysyłane przez moich rodziców. Dziwił się temu blokowy, któremu zawsze dawałem papierosy. Pewnego razu, kiedy jak zwykle nie chciałem od niego przyjąć „prezentu” zapytał mnie jaki jest mój zwód. Odpowiedziałem, że jestem landwirtssohn (synem rolnika), przecież to nie zawód, tylko pochodzenie. Przecież ty nie jesteś einfacher Mensch (prostym człowiekiem). Pytam go dlaczego tak sądzi? Bo otrzymujesz skromne paczki, a ode mnie nic nie chcesz wziąć, takich więźniów jeszcze nie spotkałem. No więc przyznałem się, że jestem nauczycielem. Z zadowoleniem stwierdził, że się zna na ludziach. Następnie zaczął politykować zaznaczając, że wojna niedługo się skończy, a wraz z tym i nasza niewola w obozie. Tu wtrąciłem, że jest tak źle w „Dorze”, bo często tkwi w tym nasza wina. Po co sobie wzajemnie dokuczamy. Trochę się nad tym zastanowił i na zakończenie zapytał: „Czy wy Polacy chcielibyście, żeby wyzwolenie obozu przyszło od wschodu, czy zachodu?” Odpowiedziałem, że dla nas to obojętne, byleby tylko nas wyzwolono i żebyśmy mogli wrócić do niepodległej Ojczyzny. On na to: lieber sterben, als Kommunismus – lepiej umrzeć niż komunizm – tak bał się Rosjan. I miał rację. Po tej rozmowie nasz blokowy, okrutny sadysta Karl Bringer zmienił się radykalnie, nie maltretował już więźniów i traktował nas po ludzku. Pewnego razu jednego z więźniów za kradzież obuwia ukarał w ten sposób, że musiał on stać w przysiadzie na taborecie i trzymać w rękach skradzione buty. Gdy zobaczył, że ja przechodzę w pobliżu kazał mu zejść, widocznie sumienie go ruszyło.

Od połowy lutego 1945 roku zaczęliśmy obserwować i podziwiać w godzinach popołudniowych lecące nad obozem eskadry samolotów alianckich nieraz nawet przez dwie godziny, a zdenerwowani esesmani wpędzali nas gwałtem do sztolni. Nie było natomiast widać żadnych samolotów niemieckich, ani słyszeć huku dział przeciwlotniczych. Pod



koniec lutego po pracy zapędzono nas do jednej hali, gdzie na haku od dźwigu powieszony był strychezek. Po chwili dwóch esesmanów przyprowadziło skutego kajdanami i zakneblowanego Rosjanina. Kapo założył mu na szyję strychezek, nacisnął na kontakt i winda uniosła w górę skazanego, który jeszcze przez chwilę ruszał nogami, po czym skonał w męczarniach, ów Rosjanin został skazany na śmierć za sabotaż, którego dokonał sikając do silnika maszyny i ją w ten sposób uszkodził. W marcu egzekucje odbywały się jeszcze częściej. Na placu apelowym w dniu 11 marca 1945 roku stracono jednorazowo 60 ludzi na 4 szubienicach, a 14 marca grupę polskich więźniów w tunelu. Ostatnia egzekucja miała miejsce 21 marca 1945 roku. Spędzono nas wszystkich do sztolni w tunelu B. Na suwnicach służących do podnoszenia i przesuwania ciężarów przymocowano dwie długie szyny, do których przywiązano po 9 linek. Nie trwało długo jak przyprowadzono 18 więźniów z czerwonymi winklami i literą P, a więc Polaków. Wszyscy mieli zakneblowane usta, ręce wykręcone w tył i związane drutem. Dziewięciu ustawiono pod jedną szyną a następną dziewiątkę pod drugą. Następnie esesmani przeprowadzali nas przed skazańcami i zmuszali do patrzenia na wiszących kolegów. Ze łzami w oczach przechodziliśmy przez miejsce egzekucji i nie mogliśmy zrozumieć, jak mogły na to patrzeć z uśmiechem Niemki, które pracowały w biurach i z ciekawości przybiegły do tunelu. Jeszcze 18 marca napisałem ostatnią kartę pocztową do mej Mamy, ale jako nadawcę podałem nazwisko mego kolegi Józefa Skrobali, oczywiście za jego zgodą ponieważ ja nie mogłem wysłać kartki ze względu na to, że zrobiłem to zaledwie przed tygodniem. Dogadałem się też z majstrem Maasem, że odwiedzi moją rodzinę w Grafenbrück, ale z powodu zniszczenia torów do tych odwiedzin nie doszło.

Po 25 marca już było słychać w naszym obozie huki dział zbliżających się wojsk alianckich. W całym obozie i fabryce dało się odczuć podenerwowanie. Ostatniego marca i to właśnie w Wielką Sobotę, ogłoszono przez radio fabryczne, że przez okres Świąt Wielkanocnych praca odbywać się będzie jak zwykle, mimo że przedtem zapowiedziano dwa dni przerwy świątecznej. W pierwsze święto zesłaliśmy do tunelu, ale nie pracowaliśmy w halach, które były zresztą przeładowane różnymi maszynami i sprzętem z różnych fabryk. Pracownicy cywilni w biurach palili tajne dokumenty, plany i różne papiery. Więźniowie wkrótce zostali odprowadzeni do obozu poza tymi, którzy pracowali przy transporcie. W następnym dniu znowu wpędzono nas do podziemia, ale nie na długo. Pozostawiono tylko więźniów niemieckich, głównie Kapo, Lagerältesterów i innych prominentów, których ściągnięto nawet z bloków i zgromadzono w jednej z hal. W związku z zamierzoną już poprzednio ewakuacją utworzono z nich komando 110, które miało trzymać straż w czasie transportu. Otrzymali oni białe opaski na rękawy, a niektórzy nawet broń. Kiedy zobaczyłem naszego blokowego, dumnie trzymającego duży rewolwer, przeraziłem się. To częste wprowadzanie do tunelu i wyprowadzanie niektórzy tłumaczyli tym, że hitlerowcy chcieli nas wysadzić razem z fabryką (jeden z tuneli został przez nich zaminowany). Podobno przeciwstawili się temu oficerowie Wehrmachtu, którzy byli zatrudnieni przy odbiorze gotowych rakiet.

## NA DROGACH ŚMIERCI

W dniu 3 kwietnia wyprowadzono z obozu kilka tysięcy więźniów, głównie Rosjan. Mieli oni być rzekomo przeniesieni do innych, filialnych obozów. W następnym dniu nie poszliśmy do pracy. Przed południem wezwano wszystkich do stawienia się z kocami i własnymi rzeczami na plac apelowy. Tam ogłoszono nam wymarsz z tym, że na drogę mającą trwać trzy dni otrzymaliśmy mały bochenek chleba i puszkę konserw. Okazało się, że nie dla wszystkich wystarczyło, gdyż promineneci z komanda 110 zostali zaopatrzeni o wiele lepiej

niż my. Na terenie obozu powstał teraz niesamowity zamęt, rabowano magazyny odzieżowe, żywnościowe, w których niewiele zapasów zostało. Około 6 tysięcy więźniów zostało ostatecznie w tym dniu wyprowadzonych na transport.

W pobliżu wejścia do podziemia, na torach kolejowych, dziesiątki wagonów polano ropą i podpalono. Nad pobliskim miastem Nordhausen od kilku dni bombardowanym wznosiły się kłęby dymu oraz łuna. Straszny to był widok, ale nas podtrzymywał na duchu, bo świadczył o tym, że front się zbliża a wraz z nim upragniona wolność, byle tylko przeżyć te ostatnie dni. Załadowano nas następnie po 100 do jednego wagonu towarowego. Zaczął padać deszcz, więc przykryto otwarte wagony celtowymi płachtami, pozbawiając nas nie tylko światła, ale przede wszystkim powietrza. W każdym wagonie pilnowało nas trzech uzbrojonych esesmanów. Cały nasz transport liczył około 3000 osób.

Późnym wieczorem pociąg ruszył, jechał bardzo wolno, a nad nami dość nisko leciały niekiedy myśliwce alianckie. Baliśmy się, że mogą do nas otworzyć ogień, nasi konwojenci dla bezpieczeństwa wystawiali niektórych więźniów w pasiakach ponad celtawę płachtę. W takich warunkach, w wielkiej ciasnocie przejechaliśmy przez całą noc zaledwie 40 km. Rano wysadzono nas w jakiejś miejscowości, gdyż dalej pociągi nie kursowały, bo linie kolejowe były poodcinane przez wojska amerykańskie. Dalej mieliśmy iść pieszo, a tych którzy iść nie mogli i siadali na rowach specjalna ekipa esesmanów wykańczała. Kiedy przechodziliśmy przez nieduże miasteczko, jeden więzień – Francuz ślaniający się na nogach, wystąpił z szeregu i położył się na rynku. Szybko przybiegły dwie pielęgniarki i chciały zabrać leżącego. Nie pozwolił na to jeden z esesmanów krzycząc, że to jest bandyta, następnie kazał dwóm więźniom podnieść i prowadzić go dalej. Skoro tylko minęliśmy miasto na naszych oczach oprawca strzałem w potylicę zamordował biednego Francuza. Około południa doszliśmy do jakiejś polany. Tam pozwolono położyć się nam na trawie, by trochę odpocząć. W pewnym momencie podszedł do mnie nasz blokowy Karl Bringer, ale już bez rewolweru i wręczył mi trzy kartki Kautabak (tytoń do żucia) mówiąc, że może się przydać, a nie ma nic więcej do dania. Przyznał się, że jak tylko się ściemni ucieknie z transportu, bo niedaleko stąd ma krewnych. Zdawał sobie na pewno sprawę z tego, że jedynie w ten sposób może uniknąć śmierci, która by go czekała z rąk współwięźniów. Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej. Do słabnących więźniów, nie mogących już iść strzelano bez skrupułów i w ciągu drogi często na rowach napotykaliliśmy zwłoki w pasiastych ubraniach. Późnym wieczorem dotarliśmy do stacji kolejowej w miejscowości Ocken, gdzie bez zatrzymywania się kazano nam się łądować do pociągu podstawionego na bocznicy. Rozpoczęła się w strasznych warunkach podróż trwająca 6 dni. Wpakowano nas znowu po 100 do krytych wagonów. Przy trochę odchylnych drzwiach siedziało po 3 uzbrojonych esesmanów, dla nas nie było miejsca żeby się położyć. Musieliśmy niemal całą drogę stać. Przez cały ten czas nie otrzymywaliśmy nic do jedzenia i picia. Najstraszniejszym jest pragnienie. Kiedy pociąg zatrzymywał się na niektórych stacjach, krzyczeliśmy: Wasser! Luft! (wody, powietrza). Początkowo kiedy pociąg zatrzymywał się na bocznicach, wysiadaliśmy i załatwialiśmy swoje potrzeby fizjologiczne, później nie wszystkim już sił na to starczało. W czasie szóstej makabrycznej nocy straciłem chyba przytomność. Majaczyło mi się, że wszystkich ubranych więźniów wykańczają a tylko nagich zostawiają przy życiu. Kiedy dobrnęliśmy wreszcie do Ravensbrück i otwarto drzwi, powiew świeżego powietrza spowodował iż otrzeźwiałem. Koledzy patrzą na mnie nagusa, jeden z nich mający lusterko podaje mi je i każe się w nim przeglądać. Okazuje się, że jestem pobity, mam zdartą w kilku miejscach skórę. Widocznie oprawcy mnie pobili. Szybko szukam bielizny i ubieram się. Wszystko mi jakoś pasuje poza butami, które mam dwa lewe, ale szybko je wkładam, tylko chodzić w nich jest trudno. Wszystkich zmarłych w transporcie przewieziono do krematorium i spalono. Po wojnie spotkałem w Poznaniu kolegę Zemla, łacinnika z Gniezna, który jak mi mówił, po tym strasznym transporcie też trafił jako „niby nieboszczyk” do krematorium. W ostatniej chwili

wrzucający do pieca „leichtenträger” zauważył, że on jeszcze żyje. Umieszczono go następnie w szpitalu, tam stopniowo odzyskał zdrowie i po wojnie szczęśliwie wrócił do rodzinnego miasta.

W obozie w Ravensbrück pozostaliśmy około dwóch tygodni. Miałem tam numer 15535. Ze znajomych kolegów spotkałem tu tylko jednego – Ignacego Maleszę. Spaliśmy razem w jednym baraku na drewnianej podłodze, bo nie było łóżek. Odczuwałem straszne pragnienie. Kiedy w nocy się budziłem, czołgałem się do łazienki (nie miałem siły iść) i piłem, piłem wodę, początkowo mimo głodu nie mogłem nic jeść. Jedzenie było zresztą okropną, gdyż otrzymywaliśmy mały bochenek chleba na 7-8 osób, trochę margaryny, pół litra wodnistej jarzynowej zupy. Uratowały nas paczki 3 kg z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Dzieleno jedną na dwóch więźniów. Były tam rodzynki, kawa „neska”, czekolada, papierosy Chesterfieldy, mleko w proszku i inne cenne rzeczy. Mnie początkowo najbardziej odpowiadało mleko w proszku, które rozpuszczałem w wodzie i w ten sposób zaspokajałem głód i pragnienie. Powoli siły mi wracały. Część więźniów zabierano do kopania rowów. Pewnego razu ustawiono niedużą grupę około 50 osób, wśród których znalazł się także kolega Ignasz, z którym nie chciałem się rozłączać i dlatego zgłosiłem się do esesmana, że ja też chcę iść do pracy. Szliśmy przez las, na drogowskazie zauważyłem napis, 60 km do Berlina. Na pewnym odcinku stały lory załadowane długimi drągami gotowe do zatarasowania drogi, nieco dalej ciągnęły się rowy przeciwczołgowe, przy kopaniu których nas zatrudniono. Czułem się coraz słabiej, nie mogłem daleko odrzucać łopata ziemi i ledwo wytrzymałem do zbiórki. W drodze powrotnej koledzy musieli mnie podtrzymywać za rękę. Po dwóch tygodniach rozpoczęły się przygotowania do ewakuacji obozu w związku ze zbliżającym się frontem. Zaczęli z magazynów wywozić odzież, żywność, przy tej okazji niektórzy więźniowie sprytnie „organizowali” dla siebie różne rzeczy. Dobrym organizatorem okazał się również Ignasz, który wraz ze swoim kolegą Kaziem z Częstochowy zorganizowali z magazynu kilka torebek mąki kukurydzianej oraz kawy zbożowej. Kaziu okazał się mistrzem w tej dziedzinie. Nazbierał trochę deseczek, rozpałił niewielkie ognisko i w zorganizowanym garnku ugotował zupę kukurydzianą, którą poczęstował kolegów, a sam oczywiście zjadł najwięcej i rozchorował się na rozwolnienie. Niebawem zaczęto nas piątkami wyprowadzać z obozu. Do nas trzech dołączyło jeszcze dwóch kolegów. Szliśmy bocznymi drogami, a Kaziu co chwilę występował z szeregu i siadał na rowie z powodu ostrej biegunki, czym bardzo denerwował esesmanów, którzy posądzali go o próbę ucieczki. Ja jako znający język niemiecki musiałem go usprawiedliwiać. Pierwszą noc spędziliśmy w niedużym lesie obstawionym przez strażników. Spaliśmy na zabranych ze sobą kocach. Wcześniej rano ruszyliśmy w dalszą drogę i dotarliśmy do szosy, na której widzieliśmy dużo wozów załadowanych różnymi rzeczami. Jak się okazało jechali to okoliczni Niemcy uciekający przed zbliżającym się frontem. W takiej sytuacji wymieszaliśmy się z Niemcami. Sprytny Kaziu rozpoczął handel z Niemkami jadącymi na wozach, w czym musiałem mu pomagać jako tłumacz. Nasypywał zbożową kawę do puszek po „necse”, które pozbierał w obozie i sprzedawał jako prawdziwą kawę za chleb, czy wędlinę. Drugą noc spędziliśmy na wsi, w zabudowaniach gospodarskich, przeważnie w stodołach i chlewach. Esesmani zawsze ostrzegali nas przed próbą ucieczki, za co grozili natychmiastowym rozstrzelaniem. Na drugi dzień dotarliśmy do obozu Salhorff. Obóz ten zmienił się jakby w hotel, gdyż więźniowie wcale do tego nie zmuszani, sami pojedynczo zgłaszali się do niego, obóz był przeładowany. Następnego dnia zarządzono dalszy transport. Wychodziliśmy teraz grupami po 300 osób, otrzymawszy na drogę paczkę Francuskiego Czerwonego Krzyża – jedną na dwóch. Nie była ona jednak tak bogata jak amerykańska. Najwięcej było w nim obok sucharów, suszonych śliwek. Początkowo szliśmy w szeregach, ale na drodze znów zmieszaliśmy się z niemieckimi uciekinierami. Przy jednym z wozów biegł duży pies, którego Kaziu chciał kupić za „neskę”, jednak właścicielka nie chciała go sprzedać. Pech chciał, że pies po około 150 metrach wpadł

pod koła jadącego wozu i zdechł. Kaziu go zabrał i razem z Ignasiem na rowie odarli go ze skóry i wypatroszyli. Poszło im to bardzo sprawnie i szybko dotarli do nas. Kiedy przechodziliśmy przez jakąś wioskę, a psa właśnie niosłem ja z Ignasiem, podeszła do nas Niemka z esesmanem i powiedziała wskazując palcem: „das ist mein Topf (to jest mój garnek). Wy tłumaczyłem, że to chyba jeden z kolegów gdzieś go znalazł. Ona na to, że był dobrze przymocowany do wozu i nie mógł spać. Przeraziliśmy się. Esesman zapytał co w tym garnku jest. Odpowiedziałem, że pies. Uśmiechnął się, kazał nam mięso wyrzucić na rów, a garnek oddać kobiecie. Kaziu bardzo nas zbeształ, że pozwoliliśmy sobie odebrać garnek, jednak po chwili załatwił gdzieś nowy, ładniejszy. Kiedy przechodziliśmy obok jakiegoś gospodarstwa, trzech kolegów podskoczyło do kopca z ziemniakami i zaczęło je wrzucać do swoich worków. Esesman, który ich zobaczył zaczął do nich strzelać z pistoletu, jednego śmiertelnie ranił, pozostałym udało się uciec. Po coś to zrobił, odezwał się stojący obok Niemiec, przecież to zrobił głodny człowiek, a wojna się już kończy. Morderca odpowiedział: „Der Bauer muss die Kartoffeln abgeben" (Gospodarz musi ziemniaki oddać). Byłem właśnie blisko, słyszałem te słowa i dobrze zapamiętałem. Że koniec wojny się zbliżał świadczyły o tym leżące na rowach panzerfausty, karabiny, rozbite działa, czołgi, co oglądaliśmy z wielką satysfakcją zbliżając się do miasta Lübtz. W pewnej chwili podszedł do nas żołnierz niemiecki sił o papierosa mówiąc, że jest w trudnej sytuacji bo właśnie zdezerterował z jednostki, my mu papierosa, a on powiedział nam, że Berlin jest okrążony, a Hitler nie żyje. W mieście trwało zamieszanie, stało tam kilku oficerów i żołnierzy niemieckich, którzy skapitulowali i poddali miasteczko wojskom amerykańskim. Po krótkiej przerwie ruszyliśmy j i rozlokowano nas na łące w pobliżu jakiejś wioski. Rozpaliliśmy tam ognisko i zaczęliśmy smażyć psie mięso. Najpierw Kaziu odlał trochę psiego tłuszczu, każdy z nas miał go posmakować, bo jego zdaniem, to najlepszy środek przeciwgruźliczy. Potem jedliśmy mięso, które mi jakoś nie smakowało. W czasie tej „uczty” podszedł starszy wiekiem esesman i pytał, co my tak zajadamy. Hammelfleisch (baraninę) – odpowiedziałem na życzenie Kazia. Przysiadł się do nas i prosił żeby go poczęstować, bo jest głodny. Kiedy razem jedliśmy psinę ok. 21.00 pamiętnego dnia 2 maja 1945 roku usłyszeliśmy na drodze głośne okrzyki: Niech żyje! hurra jesteśmy wolni! Wstaliśmy i widzieliśmy 6 aut pancernych amerykańskich przejeżdżających drogą w kierunku miasta Lübtz. Auta przejechały i spokój. Niemcy wystraszeni, my uradowani.

## **PIERWSZE DNI WOLNOŚCI I POWRÓT DO STRON RODZINNYCH**

W dniu 2 maja 1945 roku byliśmy wolni, ale nikt się nami nie zajął. Wśród nas kręcili się esesmani, żołnierze Wehrmachtu, ale już bez broni; nadal byli butni. Ja z kolegą Ignacym Maleszą zostałem na miejscu przy pieczeniu psa, natomiast Kaziu wybrał się do pobliskiej wsi, skąd wkrótce wrócił z butelką denaturatu. Dolał do niego wody i z Ignasiem solidnie popijał. Ja nie chciałem pić, więc Kaziu zapytał się na co miałbym ochotę, wiedziałem, że na lemoniadę. Kaziu na to wstał, gdzieś pobiegł i przyniósł mi butelkę lemoniady, którą wypilem jednym duszkiem. Postanowiliśmy ruszyć na zachód, razem z wędrującymi Niemcami, nagle słychać strzały i powstaje wielkie zamieszanie. Pytam się jednej Niemki, co to się dzieje. Ta odpowiada zdenerwowana: „Die Russen kommen" (ruski nadchodzą). Dochodzimy do skrzyżowania dróg, postanawiamy się gdzieś schronić, by jeszcze w ostatniej chwili nie zginąć. Trafiamy na rozległy dziedziniec folwarku, wchodzimy do dużej stodoły, gdzie zastajemy masę więźniów, esesmanów i żołnierzy. Mija może pół godziny, słyszymy na dziedzińcu pamiętne słowa: „kuda german”? Wychodzimy ze stodoły, a za nami Niemcy z podniesionymi rękami. Nas się pytają czy to są ci Niemcy, którzy nas bili i czy mają ich

rozstrzelać? My odpowiadamy, że to nie ci i nie muszą ich zabijać. My, Polacy nie mamy sumienia strzelać do bezbronnych. Następnie ruszamy w kierunku Parchimia, które zostało niedawno wyzwolone. W mieście organizujemy sobie nowe ubrania i buty. Na rynku spotykamy ludzi wynoszących mięso z pobliskiej rzeźni, zabieramy i my po dużej porcji z myślą że znajdziemy jakieś miejsce, żeby przygotować coś do jedzenia i zaspokoić głód. Kaziu wchodzi do każdego sklepu i kradnie ile wlezie, gdy zwracamy mu uwagę, mówi że musi sobie odbić lata obozowe i weźmie tyle, żeby nie musiał już pracować. Nie zgadzamy się z jego postępowaniem i nasze drogi się rozchodzą. Po drodze dołącza do nas trzech kolegów i wspólnie nocujemy w domku pana Nowitzkiego. Następnego dnia postanawiamy jechać w kierunku Poznania na rowerach. Po skompletowaniu 5 rowerów ruszamy w drogę wczesnym rankiem 5 maja. Na rynku spotykamy jeszcze Kazia, który siedzi na wozie wyładowanym różnymi rzeczami i popędza batem dwa piękne konie. To było nasze ostatnie spotkanie i nie wiem czy udało mu się wrócić do kraju. Jeden z naszych kolegów namawia nas żebyśmy zobaczyli co się z stało z więźniami z Sachsenhausen, gdzie był on przez jakiś czas. Tam tracimy rowery, które zabiera nam jakiś Rosjanin. Idziemy więc pieszo i na drodze spotykamy wóz, tzw. mleczarkę, a na niej siedzi starszy już gospodarz z 14-letnim synem. Prosimy aby nas zabrał, on się nie zgadza, my jednak się ładujemy a Ignas szepce, że musimy zdobyć ten wóz bo inaczej podróżować się nie da. Rankiem otrzymaliśmy od oficera rosyjskiego bumazkę stwierdzającą, że koń i wóz są własnością 5 więźniów wracających z obozu. Po drodze zabraliśmy 15 więźniarek z Ravensbrück, które miały bryczkę z koniem, jednak nie jechały tylko wiozły swoje bagaże. Tak dotarliśmy do stacji kolejowej, przy której stało kilka platform konnych, na gumowych kołach. Zostawiliśmy nasz wóz i bryczkę, a oba konie zaprzęgnęliśmy do platformy. I tak cała nasza dwudziestka podróżowała. Kobiety starały się o chleb i mleko, nocowaliśmy w stodołach, przy czym musieliśmy pilnować naszych kobiet, bo często odwiedzali je żołnierze rosyjscy w wiadomych celach. Dotarliśmy wreszcie do Odry w okolicach Kostrzyna, a stamtąd w kierunku Międzychodu. Wielkim przeżyciem dla nas było przekroczenie dawnej granicy.

Znaleźliśmy się wreszcie na polskiej ziemi, którą ze wzruszenia ucałowaliśmy. Przed wioską Eulenberg (Sowia Góra) sprzedaliśmy konie wraz z platformą dwóm Polakom. Interes ubiliśmy u rybaka Meyży, który nas przenocował i zapłacił nam za wszystko 5 tysięcy złotych. Po podziale każdy dostał po 250 zł. Zgodnie z umową pan Meyża zawiózł nas na dworzec w Międzychodzie, gdzie otrzymaliśmy bumazkę uprawniającą nas do bezpłatnej podróży pociągiem. 16 maja 1945 roku dotarliśmy pociągiem do Poznania, gdzie się gorąco pożegnaliśmy i rozjechaliśmy do swoich domów. Ja oczywiście najbliższym pociągiem pojechałem do Czempinia. Na stacji w Czempiniu spotkałem kolegę Tomka Stróżyńskiego, który był bardzo zaskoczony moim wyglądem (ważyłem zaledwie 50 kg). Zrozumiał dopiero, gdy mu powiedziałem, że wracam z obozu koncentracyjnego. Wreszcie dotarłem do ogrodu Korbików i tam zobaczyła mnie Helcia, siostra mej narzeczonej. Uściskaliśmy się serdecznie i poszliśmy do domu, gdzie witałem się z wszystkimi serdecznie i gorąco, a szczególnie z ukochaną Manią. Tak zakończyła się moja wojenna poniewierka.

*Na podstawie tekstu autora opracował Witold Hajdasz*